

Demokrata

ORGAN • NARODOWO • SPOŁECZNEGO • RUCHU • MŁODYCH

Nr. 7

Toruń, w czerwcu 1935

Rok I

Marszałek Józef Piłsudski

ur. 1867 zm. 1935.

W dniu 12-go maja 1935 r. zmarł w Warszawie Marszałek Józef Piłsudski. — Pisać kim był Józef Piłsudski, dać możliwie bezstronną ocenę Jego życia i prac, pomimo upływu przeszło miesiąca od chwili zgonu jest jeszcze dużo zawcześnie.

Majestat śmierci, pewnego rodzaju psychoza pogrzebowa i nastroje uniemożliwiają bowiem właściwe spojrzenie na Jego osobę. Zbyt wielką rolę odegrał Zmarły w dziejach Polski Niepodległej, zbyt wielu miał przyjaciół duszą i ciałem Mu oddanych, jak również przeciwników, aby można pisać o Nim dziś z naukową bezstronnością. Dziś można napisać uwagi ogólne, które już z perspektywy miesiąca wydają się bezsporne.

Do roku 1914 nazwisko Jego niebyło znane szerokiemu ogółowi. O działalności Jego wiedziały tylko koła rewolucyjne rozmaitych odcieni oraz te sfery społeczeństwa polskiego, które z niemi sympatyzowały. Z chwilą jednak rozpoczęcia wojny światowej nazwisko jego wypłynęło i skupiło koło siebie uwagę społeczeństwa, którego różne grupy śledziły akcję Jego bacznie z rozmaitymi uczuciami, stosownie do orjentacji politycznej, jakie wyznawały; po powstaniu zaś Państwa Polskiego, po zajęciu przez Niego stanowiska Naczelnika Państwa, stał On się czynnikiem centralnym w naszym życiu politycznym; po Jego ustąpieniu z tego stanowiska w 1922 roku, po czteroletniej przerwie, w maju 1926 roku osiągnął władzę całkowitą w państwie i wziął na Swoje barki ciężką i odpowiedzialną rolę kierownika faktycznie najwyższego polityki tak zagranicznej, jak i wewnętrznej. Ten nadzwyczajny przebieg Jego kariery życiowej, którą sam słusznie określił, jako „bajeczną“, zastanawiał i dotychczas jeszcze zastanawia ludzi myślących.

Wyjaśnienie znaleźć można w Jego cechach psychicznych oraz w okolicznościach historycznych, wśród których działał. Zarówno Jego wielcy wielbiciele, jak ludzie należący do innych niż On obozów, a nawet przeciwnicy polityczni uznać muszą Jego

wybitną indywidualność, która polegała przede wszystkim na silnej i zarazem bardzo skoncentrowanej woli, która przerasta inne czynniki Jego psychiki. Skoncentrowanie jej w każdym czasie na pewnych punktach działalności jeszcze ją wzmacniało, gdyż dzięki temu nie rozpraszała się. Taka silna, jednolita wola może zarówno prowadzić do zwycięstwa, jak i do porażki, stosownie do okoliczności sprzyjających jej kierunkowi albo przeciwdziałających mu. Silna bowiem wola, napotykać na nieprzewidywane trudności, a nie dość giętka musi się załamać, przy sprzyjających zaś okolicznościach triumfuje. Działalność Zmarłego Marszałka przypadła w tym okresie czasu, kiedy pewne odłamy społeczeństwa polskiego, po reakcji przeciwko wszelkiej akcji rewolucyjnej, jaka się ujawniła u nas po powstaniu 1863 roku, weszła na drogę ponownej działalności spiskowej; w momencie zaś wybuchu wielkiej wojny światowej miał On już za sobą długoletnią działalność, przerwana tylko na krótko w 1900 roku. Wojna ta stworzyła szerokie możliwości przed narodem polskim, umożliwiła ona realizację programu niepodległości Polski, dzięki porażce najpierw Rosji, a później Niemiec.

W tych czasach przełomowych, w których potężne państwa traciły swe terytorja i powstawały nowe, w których te nowe formacje polityczne zastępowały społeczeństwa w rozterkach wewnętrznych, wysuwały się jednostki wybitne, obdarzone silną wolą i mające oddanych sobie zwolenników, które ujmowały w swe ręce władzę. To też widzimy w różnych państwach, zarówno nowych, jak i dawniej istniejących, ale szarpanych wewnętrznymi antagonizmami ludzi wybitnych, dochodzących do władzy, a choć wartość ich nie jest jednakowa i różnią się wogóle między sobą, to jednak wszyscy są wytworem pewnej epoki w tem znaczeniu, że tylko przy takich warunkach mogły zająć to stanowisko, które zdobyły.

Śmierć Marszałka Piłsudskiego zamyka jeden okres wznowionego Państwa Polskiego, a otwiera drugi. Nie należy się spodziewać odrazu jakiegoś

zasadniczego przełomu, ale niewątpliwie zejście ze sceny dziejowej takiej wybitnej pod pewnymi względami jednostki, nie może nie pociągnąć za sobą żadnych skutków, chociażby dlatego, że te sfery społeczne, których był wyrazem nie mają nikogo, kto mógłby się równać ze Zmarłym i mógł Go zastąpić. Dlatego też sfery, które dotychczas ulegały jednej silnej woli, obecnie znajdują się pod kierunkiem kilku co najmniej indywidualności bez porównania mniejszych, często niezupełnie ze sobą zgranych, a i szerokie koła społeczne zajmą inną wobec nich pozycję od dotychczasowej wobec Marszałka Piłsudskiego.

Niespodziewając się więc zmian raptownych, przypuszczając jednakże należy, że ten nowy okres w naszej państwowości doprowadzi stopniowo do

stosunków innych, niż dotychczasowe, mających charakter bardziej normalny od tych, jaki istniał w ciągu ostatnich lat 9-ciu. Im prędzej i wyraźniej się to stanie, tem będzie lepiej, gdyż uniknie się niepotrzebnych tarć i eksperymentów.

* * *

Nie przesądzając w tej chwili kwestji, jaki będzie o Zmarłym spokojny i beznamiętny głos Historji, uznać trzeba w Nim wielkiego patryotę, człowieka śmiałego, mającego odwagę decyzji i zdolnego do jej zrealizowania; ta cecha właśnie zdecydowała o Jego zwycięstwach na terenie naszego społeczeństwa, ponieważ olbrzymia jego większość, nie wyłączając żywiołów Mu się przeciwstawiających, cech tych dotychczas nie wykazała.

JERZY AUGUSTOWSKI

Upaństwowienie czy uspołecznienie?

W Nr. 5 „Demokraty“ pisaliśmy o potrzebie przejścia przez państwo tych wielkich przedsiębiorstw, czy to zwykłych towarzystw akcyjnych, czy ich zrzeszeń w formie syndykatów, karteli, trustów i koncernów, które faktycznie dzięki swej przewadze finansowej nad innymi tworzą monopole, wykluczające zdrową konkurencję, a przez to wyzyskujące konsumentów, robotników i nawet często uzależniające od siebie rozmaite czynniki państwowe, co stanowi wielkie niebezpieczeństwo dla niego, społeczeństwa i obywateli.

W artykule tym zaznaczyliśmy, że tego rodzaju upaństwowienie nie oznaczałoby objęcia całej produkcji przez państwo, lecz tylko jego części. Uzasadnieniem i rozwinięciem tego stanowiska jest poniższy artykuł.

Redakcja.

I.

Jeszcze przed laty 50 jeden z najznakomitszych ekonomistów niemieckich, a nawet światowych, Adolf Wagner, w kapitalnym swem dziele p. t. „Podstawy ekonomji politycznej“, w tomie III, twierdzi słusznie, że *w państwach współczesnych należy odróżnić trzy rodzaje gospodarstw opartych na trzech różnych zasadach: gospodarstwo 1) indywidualne, czyli prywatne, 2) społeczne i wreszcie 3) dobroczynne.*

Czem jest gospodarka indywidualna, czyli prywatna, wiemy dobrze i nie potrzebujemy nad tem zastanawiać się szczegółowo. *Obliczona ona jest przede wszystkim na zysk przedsiębiorcy, ceny produktów normowane są przez konkurencję, która utrudnia nadmierny wyzysk konsumentów i pozwala im wybierać dla siebie odpowiedni towar.*

Gospodarka społeczna w rozumieniu Wagnera doprowadzonem do końca *rozpadałby się mogła na państwową, samorządową, współdzielczą w rozmaitych jej formach oraz robotniczo-związkowo-zawodową.*

Gospodarka państwowa oznacza prowadzenie przedsiębiorstw przez organa państwowe, bądź to na zasadach czysto biurokratycznych, bądź też handlowych albo mieszanych.

Gospodarka samorządowa oznacza przedsiębiorstwa będące własnością gmin miejskich i wiejskich, powiatów i województw.

Czem jest współdzielenie wiemy dobrze.

Wreszcie gospodarka związkowo-zawodowa oznaczałaby prowadzenie przedsiębiorstw przez *robotnicze związki zawodowe.*

Po wielkiej wojnie światowej stronnictwa socjalistyczne w swych programach i wydawnictwach skłaniały się i dotychczas się skłaniają przeważnie do tego, co proponował Otto Bauer, t. j. do oddania potężnej, skonstruowanej produkcji związkom robotników pracujących w tych zakładach ze współudziałem delegatów konsumentów i rządów. Jest to więc system mieszany.

System ten nie wydaje się praktycznym, a to z tego względu: że *utrudnia odpowiedzialność za kierownictwo, że stwarza ciężką maszynę administracyjną, w której z konieczności zarysowałyby się musiały znaczne różnice poglądów dotyczące prowadzenia tych zakładów. Każda decyzja wymagałaby narad większej liczby osób. Zarządy tych przedsiębiorstw przeobraziłyby się w małe parlamenty, złożone z kilkunastu, czy więcej osób, dyskutujących i walczących z sobą: jedni bowiem reprezentowaliby robotników, inni konsumentów, inni wreszcie rząd.*

Syndykaliści rewolucyjni znowu, będący pół anarchistami, gdyż wogóle odrzucają państwo jako organizację stałą, przymusową, posiadającą władzę suwerenną, pragną, aby wszystkie przedsiębiorstwa oddane były samym robotniczemu związkowi zawodowemu, które w sprawach produkcji porozumiewałyby się między sobą. Odrzucając jednak państwo i ustawy obowiązujące, na straży których onoby stało, porozumienia związków, w rękach których byłyby kopalnie, fabryki, środki komunikacji oraz ziemia — mogłyby z sobą dojść do skutku albo nie, raczej nie, niż tak. A gdyby nawet postanowienia o porozumieniu byłyby powzięte, to mogłyby przy lada okoliczności być zerwane, a to tembardziej, że nie byłoby żadnej władzy wyższej, żadnego sądu, któreby sprawy sporne rozstrzygały. Ale nawet z punktu widzenia sprawiedliwości byłoby niesłusznie oddawać poszczególne fabryki, kopalnie, środki komunikacyjne robotnikom w nich pracującym, gdyż z konieczności zrobiliby to jednych z pośród nich materialnie uprzywilejowanych w porównaniu do drugich. Pracujący bowiem w bardzo ważnych i bogatych przedsiębiorstwach znaleźliby

się odrazu w warunkach nieskończenie lepszych od tych, co pracowaliby w biedniejszych.

Taki system doprowadziłby do ogólnego rozprężenia, do anarchji w produkcji, do jej upadku i do cofnięcia się cywilizacji wstecz. Dlatego też upaństwowienie tych najbardziej skoncentrowanych i rozległych przedsiębiorstw, tworzących faktycznie monopole byłoby najwłaściwsze.

Musiłyby one być prowadzone w sposób handlowy: na czele, jako dyrektorzy, staliby ludzie mianowani przez rząd; funkcję zaś rady nadzorczej sprawowałiby delegaci wybrani ze sfer fachowych przez komisję parlamentarną gospodarki państwowej.

W ten sposób byłoby jednolite kierownictwo w postaci dyrekcji. Rada nadzorcza zaś, jako ciało kontrolujące, mające ścisły nadzór, łagodziłaby biurokratyczny charakter tego systemu.

Co zaś do robotników, to umowy zawierane by były, jako zbiorowe, pomiędzy związkami zawodowymi a dyrekcją.

Samo przez się rozumie się, że system taki mógłby funkcjonować z korzyścią tylko w prawdziwej demokracji, opartej na politycznej odpowiedzialności ministrów przed parlamentem i demokratycznym systemie wyborczym. W państwie autokratycznym system ten byłby szkodliwy, gdyż uzależniłby bardzo znaczną część życia gospodarczego państwa od samowolnej, nieodpowiedzialnej biurokracji.

Rozległe reformy socjalne wymagają poważnych środków materialnych, upaństwowienie takich przedsiębiorstw dobrze prowadzonych niewątpliwie dużo dałoby ich państwu.

Czysty dochód z tych przedsiębiorstw wpływałby do kas państwowych i musiałby być podzielony na trzy części.

Pierwsza przeznaczonąby była na fundusz staty robót publicznych; druga na fundusz na cele dobroczynne, co odpowiadałoby gospodarce filantropijnej; trzecia przeznaczonąby była na wydatki ogólnopaństwowe.

Fundusz na roboty publiczne miałby na celu zwalczanie bezrobocia. Plan takich robót powinien być zgóry obliczony na pewną ilość lat; w razie jakiegos długiego kryzysu roboty powinny być przedsiębrane na większą skalę, niż w czasach normalnych.

Fundusz dobroczynny powinien być przeznaczony na pomoc w rozmaitych formach dla tych, którym ani kasy chorych, ani ubezpieczenia od wypadków, czy na starość nie wystarczają. A więc dla dotkniętych ciężką chorobą, a nie mających emerytury, dla licznych rodzin osieroconych czy to przez ojca, matkę, czy przez oboje rodziców i t. p.

W najlepiej zorganizowanym społeczeństwie zawsze znajdują się tak nieszczęśliwi, co potrzebują specjalnych środków albo opieki.

Upaństwowienie tych wielkich przedsiębiorstw pozostawiłoby duże jeszcze pole dla inicjatywy prywatnej w dziedzinie przemysłu średniego i drobnego, któryby pozostał w rękach prywatnych.

Zresztą nawet w tym upaństwowionym przemyśle droga dla inicjatywy prywatnej nie byłaby bynajmniej zamknięta, o ile byłby on prowadzony handlowo, a nie biurokratycznie. *Istotnie: wybitnie zdolni i posiadający inicjatywę czy to zwykli robotnicy, czy majstrowie, czy administratorowie, czy dyrektorowie handlowi wyszukujący nowe rynki dla produkowanych przedmiotów zbytu —*

mogliby za swe nadzwyczajne usługi, za wprowadzenie różnych korzystnych pomysłów własnych, otrzymywać specjalne wynagrodzenie.

To, co się dzieje obecnie naprzykład u nas z temi nadzwyczajnymi wynagrodzeniami panów dyrektorów, często nieudolnych albo niezem się nie wyróżniających zakładów przemysłowych i górniczych, te olbrzymie pensje i gratyfikacje, nie za jakieś wynalazki czy specjalne usługi — rujnują przedsiębiorstwa i w końcu odbijają się ujemnie na losie robotników. Wyjątkowe wynagrodzenia istnieć powinny tylko za wyjątkowe usługi.

II.

Jeżeli uznać gospodarkę mieszaną w tem znaczeniu, że tylko część przedsiębiorstw ulega upaństwowieniu, część występuje w formie kooperatyw, a reszta stanowi własność prywatną, to z konieczności należy odrzucić upaństwowienie kredytu w tej czy innej formie.

Widzieliśmy już w artykule poprzednim, że upaństwowienie pewnych dziedzin produkcji jest koniecznością; wiemy też, że kryzys współczesny powstał głównie z tego względu, że rozmaite państwa stworzyły własny wielki przemysł i pozbawiły znaczną część rynków przemysł innych, które poprzednio wyłącznie prawie go posiadały, stąd też wypływa konieczność dążenia do względnej, a nie całkowitej samowystarczalności gospodarczej poszczególnych państw.

Prowadzić do tego musi powrót do przedsiębiorstw średnich i małych, prowadzonych samodzielnie przez jednego czy paru współwłaścicieli.

Jeżeli więc własność prywatna w tego rodzaju interesach pozostać powinna, to z tego wypłynąć muszą pewne konsekwencje.

A więc: proces kapitalizacji indywidualnej musi się nadal, jak obecnie odbywać, warunkiem zaś tego musi być zachęta do niej i pewność, że będzie ona mogła być użyta swobodnie przez posiadaczy. Z tego też względu banki prywatne powinny pozostać i nadal. Upaństwowienie bowiem kredytu, to znaczy banków albo zbyt daleko idące skrępowanie przez państwo banków prywatnych, z konieczności osłabiłoby kapitalizację tak potrzebną dla rozwoju gospodarczego. Osłabiłoby dlatego, że oszczędności powstałe z przedsiębiorstw prywatnych, oddane bankom państwowym albo też prywatnym, nie byłyby w tym stopniu, co obecnie całkowicie do dyspozycji ich posiadaczy.

Oczywiście banki państwowe, finansujące rozmaite przedsiębiorstwa istnieć powinny; również banki prywatne powinny być pod kontrolą państwa, ta jednak ograniczać się powinna do uniemożliwienia wszelkiego rodzaju nadużyć oraz niezdrowej spekulacji. Wszelka dalsza interwencja ze strony państwa przez jego rząd powinna być zaniechana, oczywiście w czasach normalnych; tylko okresy wojny, wielkich kryzysów mogłyby usprawiedliwić ją do pewnego tylko stopnia.

Co znaczy opanowanie banków przez państwo, w imieniu którego działa rząd, to wiemy dobrze, na podstawie tego, co się dziś dzieje. Nasze banki prywatne są od niego uzależnione w stopniu bardzo znacznym, co powoduje bardzo niezdrowe stosunki w naszym życiu gospodarczym.

Na zapytanie więc, postawione w nagłówku artykułu niniejszego, odpowiedzieć należy, o ile

chodzi o wielkie przedsiębiorstwa, że upaństwowienie jest bez porównania korzystniejszym dla ogółu od uspołecznienia.

Może upaństwowienie wyda się niektórym czytelnikom czemś groźnym ze względu na analogję z gospodarką Rosji Sowieckiej. Ale analogja taka jest nieporozumieniem.

Rosja bolszewicka jest państwem rządzonem w sposób absolutny. Wolne wybory są fikcją, faktycznie rządzi bezwzględnie klika ludzi, która dorwała się do władzy, klika przed nikim nieodpowiedzialna. Ustawy mają tam tylko pozorne znaczenie. Nikt nie stoi na straży ich wykonywania, sądownictwa w znaczeniu zachodnio-europejskiem tam niema.

Robotnicy nie mają swobody ruchów, związki zawodowe są całkowicie zdane na łaskę i niełaskę biurokracji, a kierownicy ich są zgóry przez władzę narzucani.

Dlatego też właśnie, zalecając upaństwowienie bardzo wielkich przedsiębiorstw, kładę zawsze nacisk na to, że korzystnym może być ono tylko w demokracji.

Co zaś do uspołecznienia rozmaitych przedsiębiorstw, to powinno ono znaleźć swój wyraz w dobrowolnych zrzeszeniach kooperatywnych. Nawet u nas, na przykładzie Ukraińców, widzimy, jak mogą się one rozwijać przy nader zresztą wadliwym ustawodawstwie niedawno przez „sanację“ wprowadzonym, które niezawodnie utrudni ich byt.

Niedawno jedno pismo żydowskie zamieściło artykuł, częściowo przedrukowany w prasie polskiej, w którym autor wykazuje nietylko wspaniały rozwój tych kooperatyw, lecz także specjalnie wpływ ich na usunięcie zbyt rozrostłego w Małopolsce Wschodniej pośrednictwa żydowskiego.

Bez awantur, bez rozbijania sklepów i bijatyk w radach miejskich Ukraińcy rozszerzają swą gospodarkę na wsi i w miastach, usuwając nadmierną liczbę pośredników żydowskich.

Przechodząc wreszcie do gospodarki dobroczynnej, zauważyć należy, że najlepszą jej formą są: 1) instytucje prywatne, powstające z inicjatywy kół humanitarnych, z zamiłowaniem oddających się opiece nad nieszczęśliwymi, korzystające z subwencji czy to państwowych, czy samorządowych pod kontrolą władz odpowiednich, czy to ze strony rządu, czy też takich organów, jak: rady miejskie, powiatowe czy inne; 2) instytucje prywatne zamienne i samowystarczalne, niekorzystające z subwencji; 3) wreszcie tam, gdzie potrzebne są fundusze znaczne bardzo, instytucje państwowe, posiadające jednak rady opiekuńcze społeczne, złożone z osób prywatnych znanych ze swej działalności humanitarnej, któreby współdziałały z zarządem biurokratycznym.

Oczywiście, rozumie się samo przez się, że rozmaite związki, czy to robotnicze, czy pracowni-
cze, czy wreszcie inne, powinny mieć możność tworzenia dla swych członków i ich rodzin odpowiednich instytucyj filantropijnych.

IRENA PANNENKOWA

Pracy — Prawdy — Prawa.

Dowodem coraz większego zainteresowania się „Demokrata“ jest artykuł, łaskawie nadesłany nam przez znaną i cenioną autorkę wielu prac i wybitną publicystkę p. Irenę Pannenkową, który poniżej zamieszczamy. Redakcja.

Dwa głośne wydawnictwa pomysłowego i zasłużonego Instytutu Gospodarstwa Społecznego: „Pamiętniki Bezrobotnych“ i „Pamiętniki Chłopów“, mają znaczenie dokumentalne, wykraczające daleko poza ich wartość teoretyczną tylko, naukową czy literacką. Są to niby reflektory, rzucone w głąb milczących szarych rzesz ludowych. Snopem mocnych jaskrawych promieni oświetlają kipiące pod martwą pozornie powłoką życie wewnętrzne tego ludu, wydobywają na jaw jego najbardziej palące troski, potrzeby, pragnienia.

„Pamiętniki Bezrobotnych“ to dokument niejako ogólnoludzki z ery wielkiego kryzysu. „Pamiętniki Chłopów“, jako wyraz przeżyć jednolitej najliczniejszej i najbardziej charakterystycznej warstwy narodu polskiego, stanowią nadto dokument specyficznie polski.

W jednych i drugich wybija się na plan pierwszy wołanie o pracę, bądź też o ochronę warsztatów pracy przed podkopującymi ich istnienie eksperymentami najrozmaitszej, czy to socjalnej, czy fiskalnej i administracyjnej natury.

Pokoleniu naszemu dane było szczególnie mocno odczuć i ocenić znaczenie pracy dla człowieka. Podobnie i z podobnych przyczyn, jak pokoleniu Mickiewicza dane było wyjątkowo głęboko odczuć

znaczenie wolnej ojczyzny: „...Ten tylko cię pojmie, kto cię utracił...“.

Bo praca służy nietylko zdobywaniu środków egzystencji, ale także daje wyraz tkwiącym w nas siłom twórczym, najbardziej istotnym dla natury ludzkiej. Ludzie nietylko żyją z pracy, ale, jeśli im ona odpowiada, ludzie się w niej wyżywają. Cóż dziwnego, że wszelkie sztuczne hamulce i przeszkody, stawiane temu naturalnemu i niezbędnemu dążeniu do wyładowania wrodzonej energii budzą uczucia krzywdy i rozpacz.

Chłop „wyżywa się“ w pracy na roli. Ale w obecnych warunkach nie może ani się w niej żywić, ani z niej żyć. „Pamiętniki Chłopów“ wykazują, że nawet najzamoźniejsi gospodarze w najbardziej cywilizowanych zachodnich okolicach Polski muszą dzisiaj oszczędzać na jedzeniu, ubraniu, nafcie i opale. A cóż dopiero małorolni i bezrolni! Przytem, im dalej na wschód, tem jest gorzej. Jeżeli zaś do włościan, którzy stanowią 75 procent narodu, doliczymy masy bezrobotnych miejskich oraz niższych pracowników umysłowych i fizycznych o znanych ogólnie płacach głodowych, to stwierdzić będzie trzeba, że ponad cztery piąte ludności Polski dzisiaj stale nie dojada i, mimo ciągłych rozpaczliwych wysiłków, nie może zdobyć środków na zapewnienie sobie minimum egzystencji.

O skrajnej nędzy wsi polskiej wiadomo już było przed ogłoszeniem „Pamiętników Chłopów“. Uwydatniły one tylko powszechność klęski i beznadziejność sytuacji, która już teraz w żaden sposób nie da

się zbyć tradycyjnym polskim „jakoś to będzie“, ale na gwałt wymaga nadzwyczajnej akcji ratunkowej.

Co jednak zupełnie nowego przyniosły „Pamiętniki Chłopów“, to ujawnione w nich ożywienie umysłowe wśród ludu, jego tęsknota do książki i gazety, jego pęd do oświaty. Polska wieś już dawno przestała być ową okrzyczaną i ośpiewaną „wsią zaciszną, wsią spokojną“. Burze i wichry dziejowe naszej epoki zbudziły ją z drzemki myślowej, w której zdawała się być pogrążona od wieków. Wielka wojna wyrwała masy chłopskie z ich zagród rodzinnych, wzbogaciła je mnóstwem spostrzeżeń i doświadczeń, mniej lub więcej bolesnych i — pouczających. Powstanie państwa polskiego i bujne życie polityczne pierwszych lat niepodległości dało silne impulsy, roznieciło wielkie nadzieje. Olbrzymie przemiany socjalne, dokonane w państwach ościennych, przewrót majowy w Polsce i przeżycia ostatniego dziesięciolecia, wreszcie i kryzys, który, jak straszliwa zmora, zaciążył na życiu gospodarczym kraju, i zwłaszcza na rolnictwie, — wszystko to wstrząsnęło ludem do głębi, wywołało fermenty i przemiany. „Pamiętniki“ wskazują, że chłop polski przestał już dawno być owym Ślimakiem z „Placówki“ Prusa, zacieklým w walce o swoje, ale ciasnym, nieporadnym i ciemnym. „Ślimak“ wyszedł już dzisiaj ze ślimaczej skorupy, rozejrzał się po świecie, spojrzął w oczy słońcu. I zasmakował w świetle: chce rozumieć, co się dzieje z nim i dookoła niego, przeniknąć przyczyny złego, zdobywać wiedzę, poznawać *prawdę*.

Zarazem jednak wyczuwa, że ta prawda jest trudna i niebezpieczna. To też im bardziej jej pragnie, tem bardziej po dawnemu, po „ślimaczemu“ jeszcze, jest nieufny, ostrożny, zamknięty w sobie.

„I niebardzo wierzę — czytamy w jednym z pamiętników — co pisze Instytut Gospodarczy Społeczny, żeby pisać wszystko otwarcie. Co prawdę, to tak, a co wszystko, to nie, bom miał takie zdarzenie za czasów Polski, com śmiało prawdę mówił i pisał, tom potem przez innych był przesładowany“.

Chłop tedy wkońcu coraz lepiej uświadamia sobie, że tylko *prawo*, niezłomne i wszystkich wiążące jednakowo, może mu zabezpieczyć jego warsztat pracy, zapewnić dostęp do wiedzy, ochronić rozbudzoną godność osobistą i zawsze upragnioną wymierzać sprawiedliwość.

Ma on oczy otwarte, patrzy i porównywa, a potem wysnuwa wnioski, nieraz ogromnie pouczające i bystre. Naprzykład, gdy chodzi o własność, w Polsce konstytucyjnie chronioną, jeden z pamiętnikarzy zauważa:

„Czyta się w gazetach, że w Rosji zabierają rolnikowi plody rolne, pozostawiając mu tyle, żeby mu starczyło do życia, u nas pozornie nie biorą w naturze, lecz każdego sam nie dojada, sprzedaje za bezcen na pokrycie różnych zobowiązań, aż wkońcu mu brakuje i zmuszony jest dokupić za pożyczone, z czego coraz gorzej zapada w długi“...

Gwałtownie też występują przeciw polityce kartelowej:

„Gdy miliony chłopskie i robotnicze jęczą w uściskach nędzy i niedostatku, to garstki dygnitarzy kartelowych używają i nadużywają życia... Ileż setek nędznych rodzin chłopskich i wyrobniczych musi płacić haracz (w postaci drogiego węgla) na takiego jednego hulakę, wywożącego z pewnością

ich krwawy grosz polski gdzieś do Szwajcarii lub na włoski Jasny Brzeg“.

Przedstawiciel młodego pokolenia, bezrolny wyrobnik 22-letni, pisze, że w wolnych chwilach czyta książki,

„ażby zrozumieć przyczynę owej tajemnicy zła, by była jedność w narodzie i dążenie do jednego celu i by był dobry rząd, a przedstawiciel tego rządu nie ten wielki, co go się ludzie obawiają, ale ten, co go jak ojca kochają“.

Skarżą się także raz po raz na nadużycia wyborcze i fiskalne. Mówią o tem w sposób umiarkowany, patrząc na sprawę — rzecz godna uwagi — zawsze z wyższego, ogólnego, szlachetnego punktu widzenia. Naprzykład:

„Były u nas na wsi wybory do rady, ale nikt nikogo nie wybierał, bo wójt przywiózł listę, kazał się podpisać i na tem koniec. Podpisywali też niektórzy gospodarze pożyczkę narodową. Pierwszą ratę wpłacili, bo przyszedł policjant z pisarzem i, jak się ludzie opierali, robił protokoły całą gromadą. *Czy nie lepiej byłoby, żeby nasz chłop czuł się obywateltem tej Polski?*“.

I autor opowiada dalej:

„Jest u nas jeden chłop, nazywa się Jasieczkowy Wojtek. Dzieci ma ośmioro, długu po uszy. Wszystko to takie wymizerowane, że żal patrzeć. Przyszli do niego po pożyczkę i musiał podpisać. Te pierwsze 8 złotych pożyczał w 10 domach i u mnie też pół złotówki, co będzie z dalszymi ratami, nie wiem. Teraz przychodzi do mnie co drugi dzień i pyta się czy nie będzie jakiej wojny albo rewolucji. Ale nietylko on, wszyscy na wsi proszą Boga, żeby była wojna, albo co innego, by się tylko zmieniło. Gdyby chłopcy były tak blisko siebie, jak robotniki w mieście, to nie wiem, coby już było. Dzisiaj trzeba wyrównać te wszystkie nierówności na świecie i *wszystko ująć w PRAWO, by człowiek mógł żyć, jak człowiek*. Rozkoszy i wybryków nam nie potrzeba, ale tego, by praca nasza nie była śmieszna w tym mądrym świecie“.

Ten pamiętnik podobno został nagrodzony. Rzeczywiście, pod względem świeżości i siły ujęcia należy do najbardziej wyróżniających się. Pisany jest przytem z niewątpliwym talentem literackim, i bez cienia pozy. Kończy się słowami:

„Pisze sobie, ale kto mnie rozumie albo kto będzie czytał. Trochę pomazane, bo mi lży kapią same, wszystko za mną, a przedemną nic“.

Trzeba, żeby ta wieś, pogrążona dzisiaj w nędzę i rozpacz dowiedziała się jednak, że są tacy, co tę wstrząsającą spowiedź *czytają i rozumieją*. I wysnuwają wnioski.

Potrójny głód: ciała, myśli i sumienia — wyraża się, jak widzimy, w powtarzającym się ciągle potrójnym żądaniu:

pracy — prawdy — prawa.

To jest hasło dnia dzisiejszego. Nietylko wsi, ale i całej Polski.

„Człowiek, który gardzi zasadami w polityce, kieruje się w głębi ducha jedną bardzo pewną zasadą: służyć wszelkiej władzy i robić karierę pod wszystkimi rządami“.

Laboulaye,

publicysta i głośny prawnik francuski (1811—1883).

W sprawie reformy pisowni.

Temat oklepany, — ba, zięjący nudą dla zwykłego czytelnika, nierozmiałowanego w dociekaniach gramatycznych. Więc też niemal każdy, kto przeczyta nagłówek powyższy, pomyśli jednocześnie: poco poruszać podobne tematy; czy nie lepiej pozostawić je specjalistom, którzy zęby zjedli na zawiłościach ortograficznych.

Otóż nie, bo sprawa ta posiada nietylko znaczenie zawodowe, interesujące fachowca, ale także nierównie donioślejsze z punktu widzenia społecznego znaczenie dla kultury, a nawet dla niektórych innych stron życia zbiorowego Polski.

Zresztą chaos, jaki panuje w pisowni naszej, chaos, niegodny narodu kulturalnego, wywołuje rumieniec wstydu na twarzy każdego Polaka, który w tej sprawie rozmawiać musi z cudzoziemcem. Fachowcy nasi nie potrafili chaosu tego zażegnać i pisowni uporządkować: nietylko nie stanęli pod tym względem na wysokości swego zadania, ale dziwnie przypadkowo swemi uchwałami i dorywczymi „reformami“ zamęt spotęgowali.

Doszło dziś do tego, że ludzie o dużej nawet inteligencji nie wiedzą często, jak taki czy inny wyraz polski napisać. Wytworzył się zawód korektorów specjalistów, którzy wyglądzają pod względem ortografii wszystko, co w druku światło dzienne ma oglądać, autorowie zaś rezygnują dziś ze zgłębienia tajników pisowni, oddając się bezsilnie pod skrzydła opiekuńcze korektora.

A przecież niedawne to czasy, kiedy każdy inteligent polski pisał przeświadczony, że pisze właściwie i poprawnie; trzymał się tej lub innej pisowni, ale wahań nieustannych i wątpliwości przy pisaniu nie przeżywał.

Dopiero w czasach niepodległości nasi „spece“ wzięli się ze wszystkich swoich sił do czynienia zamętu w ortografii polskiej. Dzielnie sekunduje im szkolnictwo, które tonąc w nieustannym wirze reform, często nie nadąża z nauką ortografii.

Dziwnymi drogami chodzą pomysły naszych „speców“ od pisowni. Ci sami ludzie, którzy daliby się ewiartować w imię dogmatu, że w języku polskim i nie może następować po r, nagle, a niespodzianie każą pisać „triumf“. Albo w drugim przypadku liczby mnogiej zakazują pisać „pralni“, niewyjaśniając jednocześnie, czy wzamian pisać należy „praln“ czy „pralen“.

Niekiedy zaś zupełnie niespodzianie oszalałają Polskę piszącą jakąś rewelacją w rodzaju słynnego „spowodu“.

Najgorsze zaś są te stawiania świeczek i ogarków, te orzeczenia, że „można tak, ale można również inaczej“.

Koniecznością jest położenie kresu figlom ortografów i ustalenie pisowni choćby na lat dziesięć. Co do tego niema chyba rozbieżności zdań; rozbieżność ta może powstawać dopiero przy ustalaniu zasad reformy.

Niedawno prasa omawiała pewne projekty reformy, wywołujące okrzyki przerażenia w publicystyce pism codziennych.

W rzeczywistości jednak propozycje te nie były tak światoburcze, jak się to publicystom kurjerkowym zdawało. Prostu szło tutaj o krok na drodze

ku ulepszeniu pisowni, który to krok inni już dawno uczynili.

Pisownia polska bowiem wzorowała się kiedyś na pisowni czeskiej — w owych czasach, gdy kultura płynęła do Polski korytem czeskim. Ale Czesi dawno już zerwali ze swą pisownią staroświecką, dawno już wprowadzili ułatwienia i uproszczenia, które nam się obecnie wydają rewolucją.

Narody słowiańskie, które posiłkują się alfabetem łacińskim, naśladowały wzory czeskie. Dziś tylko pisownia polska uporeczywie trwa przy własnych rzekomo, a w samej rzeczy przy przestarzałych czeskich zasadach pisowni.

Więc narody słowiańskie, używające alfabetu łacińskiego, (z wyjątkiem Polaków) od dawna wyrażają dźwięki rz, sz, cz jedną literą, od dawna usunęły podwójne w, wprowadzoną ongi przez Niemców dla własnych potrzeb, a następnie prze-flancowane do nas za czeskim pośrednictwem; od dawna przestały zmiękczać samogłoski przez niebardzo uzasadnione wprowadzenie jeszcze jednej samogłoski (i), lecz zmiękczają te samogłoski przez umieszczanie nad nimi odpowiedniego znaczka.

Analogiczne propozycje zostały jakoby wysunięte wśród pomysłów zmiany naszej pisowni; niestety, te zmiany, które dawno już zostały przyjęte i wypróbowane przez naszych krewniaków językowych, dla polskich specjalistów są czerwoną płachtą. A przecież naprzykład oddanie dźwięku rz jedną literą pozwoliłoby wzamian uniknąć niejasności ortograficznej przy pisaniu takich wyrazów, jak „marznąć“, „murza“ i t. p.

Dalej miano skasować używanie podwójnej spółgłoski „ch“; idzie o to, że w języku polskim (z wyjątkiem kresów wschodnich), tak samo, jak w języku chorwackim, potoczna wymowa nie odróżnia dźwięku ch od h. Chorwaci też od dawna wszędzie piszą samo h i zupełnie nie odczuwają potrzeby powrotu do dawnej pisowni.

Projekty polskie chciały jeszcze usunąć różnicę między rz a ż, opierając się na tem, że z wyjątkiem Śląska, nigdzie w całej Polsce nikt w wymowie nie odróżnia tych dźwięków.

Bez wątpienia byłoby to wielkie ułatwienie, gdyż obecnie dla poprawnego pisania po polsku należałoby właściwie wprowadzić w szkołach naszych naukę porównawczą innych języków słowiańskich, i ta dopiero nauka powiedziałałaby nam, gdzie pisać rz, a gdzie ż.

Do ułatwień pisowni zaliczyć możnaby projektowane zniesienie różnicy między ó i u.

„Specjaliści“ opierają się „nowinkom“. Czynią to rzekomo celem zachowania możliwie czystego alfabetu łacińskiego.

Ależ alfabet ten języki słowiańskie musiały dostosować do brzmień swoich; uczynił to w dużym stopniu i język polski. Jeżeli łaciński alfabet pierwotny jest tak drogi sercu naszych uczonych, dlaczego tolerują i obdarzają sympatją podwójne w?

Jeżeli zaś uczonym tym zależy na dobrem oddaniu dźwięków polskich alfabetem łacińskim, to będą musieli nie w jednym jeszcze kierunku alfabet ten dostosować do potrzeb: dlaczego rozwinięcia

naprzykład domaga się zagadnienie zmiękczenia spółgłosek, jak choćby oddanie miękkich spółgłosek końcowych w wyrazach „paw“, „Radom“ i t. p.

Wszystkie wyżej przytoczone propozycje kurjerki zbyły drwinami w rodzaju utartego „nuż w bżuch“; na dyskusję zasadniczą zdobyć się nie umiały. A tymczasem zagadnienie narasta, żąda rozwiązania i prędzej, czy później będzie załatwione w sensie uproszczenia i ulogicznienia naszej pisowni.

Lepiej byłoby bez wątpienia, gdyby się to stało „prędzej“, jeszcze za obecnego pokolenia.

I niech się nie bronią nasi ortografowie tem, że pisownia francuska czy angielska jest bardziej skomplikowana od naszej. Francuz czy Anglik pocieszać się może tem przynajmniej, że zasady jego pisowni są ustalone, że nie może on pisać „tak lub inaczej“.

A dziecko francuskie czy angielskie niezmierny wysiłek wkłada w opanowanie sztuki czytania i pisania. Dążeniem naszym być powinno, by dziecko polskie zużywało na to pracy jeżeli nie mniej, to tyleż samo, co dzieci innych narodów słowiańskich. Wiele jest bowiem rzeczy na świecie, na których poznanie korzystniej możnaby zużyć wysiłek i pracę.

Dlatego też zwolennicy „chińszczyzny“ w ortografji niech wody nie mącą; nadarza się właśnie sposobność radykalnego wymiecenia tej chińszczyzny z naszej pisowni.

Ułatwienie sztuki czytania i pisania — to zagadnienie szerszego rozlewu kultury w ciemnej jeszcze, niestety, Polsce, to zagadnienie jedno i nie najmniejszej wagi w splocie zagadnień demokracji.

Nietylko pod tym względem sprawa pisowni należy do zagadnień społecznych Polski współczesnej: oto usunięcie liter podwójnych, usunięcie owych „i“, mających zmiękczać samogłoski, usunięcie podwójnego w lub c z dźwięku ch — skrócą teksty polskie o 7—8%. O ten sam mniejwięcej procent skróci się praca piszącego na maszynie,

praca zecera, ilość papieru zużywanego na druki polskie, cena książki polskiej.

To już jest zagadnienie społeczne największej wagi!

Ale tego zrozumieć nie potrafią ciałni specjaliści od różnych tricków w rodzaju „spowodu“. Podobno odrzucili już oni wszelkie śmielsze projekty reformy pisowni i nadal chcą sobie przegłosowywać nie ogólne zasady pisowni, ale poszczególne drobiazgi, które w rezultacie klócić się będą między sobą.

Dlatego to szerokie sfery muszą wziąć udział w omawianiu tej sprawy; przecież w społeczeństwach demokratycznych coraz szerszą toruje sobie drogę pogląd, iż w decydowaniu spraw gospodarczych uczestniczą już nietylko wytwórcy, ale również i spożywcy. A w sprawie ortografji wytwórcami są gramatycy, spożywcami natomiast, spożywcami, niestety, z jednym przywilejem ponoszenia kosztów materialnych i moralnych, jest szeroki ogół.

Więc ogół ten powinien także być wysłuchany.

Naogół jednak większa reforma pisowni polskiej przez ciało, w tej chwili do tego powołane, zdaje się, nie nastąpi. Góra zapalu i zainteresowania, z jaką zagadnienie to spotkało się w społeczeństwie polskim, bodajże zrodzi mysz w postaci jakiegoś nowego „spowodu“. Inteligent polski dalej błąkać się będzie w labiryncie pisowni przyimków i przysłówków, a dziecko polskie ślęczeć nad wykazem wyrazów, w których pisze się „rz“, jak dziecko rosyjskie ślęczało kiedyś nad słynnym „jat“.

Niechby jedno wreszcie się stało: niechby ustawą sejmową ustalono pewną określoną pisownię, jako obowiązującą w szkołach i urzędach.

Ustawowe ustalenie pisowni miałoby tę dobrą stronę, że stopniowo wszyscyby ją przyjęli, wszystkie książki poczętoby drukować jednakowo, a ustawa uchroniłaby tę pisownię przed zmianami corocznymi.

Nie byłoby to ostateczne załatwienie sprawy: musi bowiem nadejść chwila reformy zasadniczej, chwila demokratyzacji pisowni polskiej, by pisać poprawnie mogła nietylko „elita ortograficzna“.

ROMAN TUNKIEWICZ

Polska klasa robotnicza.

I.

W rozwoju demokracji klasa robotnicza odegrała wszędzie rolę pierwszorzędną: w państwach, w których utwierdził się od dawna absolutyzm, do obalenia jego przyczyniła się ona w stopniu bardzo znacznym; tak było podczas Wielkiej Rewolucji francuskiej w latach od 1789 do 1793, tak było w Prusach, Austrii i innych państwach niemieckich w 1848 r., tak było w Rosji w roku 1905 i 1917. Klasa robotnicza w wymienionych państwach, za wyjątkiem caratu, w przewrotach tych początkowo nie występowała zupełnie samodzielnie jako warstwa odrębna ze specjalnymi swymi interesami, lecz brała tylko udział w ogólnym ruchu wolnościowym, walcząc przeciwko despotyzmowi monarchów i przywilejom arystokracji i szlachty; później dopiero, po zupełnem, czy częściowem zwycięstwie nad nimi uświadomiła sobie odrębność w pewnym

zakresie interesów własnych i występować zaczęła samodzielnie. W Rosji, skutkiem spóźnionego jej rozwoju politycznego, w chwili walki z absolutyzmem o wolność, burżuazja średnia i wielka oraz klasa robotnicza wystąpiły równocześnie prawie, jako czynniki walki samodzielnie.

Zwłaszcza klasa robotnicza w wielkich centrach życia państwowego, bądź to politycznego, bądź też gospodarczego, w walkach o wolność i demokrację decydującą zawsze odgrywała rolę; tłumaczy to się tem, że skupiona w liczbie znacznej, na małej stosunkowo przestrzeni, w siedlisku władz najwyższych w państwie oraz w punktach bujnego życia ekonomicznego zajmowała groźne stanowisko, i czy to w formie gwałtownych wybuchów, czy też dzięki samej swej postawie, czy też przez chwilowe zatrzymanie życia ekonomicznego — decydowała o tem, kto uzyska przewagę polityczną, albo też zdobywała ustępstwa.

Prócz tego nie bez znaczenia była i jest dotychczas ta okoliczność, że warstwa ta, z natury swego położenia, prędzej od innych decyduje się na walkę stanowiącą a nawet ryzykowną. Raz dlatego, że tworzącą zwartą masę ma poczucie swej siły, powtórę z tego względu, że tworzy warstwę potrzebującą więcej od innych szerokich reform społeczno-politycznych.

Klasa robotnicza zawsze też broniła najsukcesyjniej demokrację przed rozmaitemi, skierowanymi przeciwko niej, zamachami ze strony żywiołów konserwatywnych, reakcyjnych, czy też awanturnych.

Z tych też względów ważnym jest dla nas zastanowienie się nad charakterem naszej klasy robotniczej.

Jądrzem jej jest ludność pracująca w warsztatach, fabrykach i kopalniach w dużych centrach administracyjnych i gospodarczych. Koło tej bowiem części proletariatu skupiają się inne jego odłamy, jak robotnicy rolni, transportowi oraz pracownicy umysłowi, pozbawieni własnych warsztatów pracy. W rozważaniach naszych skoncentrujemy uwagę czytelników na tem jądrze proletariatu polskiego.

Jakkolwiek głównie obchodzi nas doba obecna, to jednak z uwagi, że teraźniejszość jest dzieckiem przeszłości, zatrzymamy się na losach warstwy robotniczej w dawnej Polsce oraz w czasach porobiorowych. Ze względu zaś na to, że obecnie największa część polskiego proletariatu skupioną jest na terytorjum byłego Królestwa i Śląska, z konieczności tej jego części, która zamieszkuje te terytoria, poświęcimy głównie nasze uwagi.

W zaraniu.

Początki przemysłu rękodzielniczego w Polsce sięgają czasów bardzo odległych. Z chwilą, kiedy powstało państwo, a więc jeszcze przed pierwszymi historycznymi książętami znanymi nam z imienia i czynów, to znaczy zapewne już w końcu wieku IX, musieli istnieć przy dworze władców Polan i Wiślan rzemieślnicy, wyrabiający niektóre przedmioty niezbędne do użytku.

Za czasów zaś Miecysława I i Bolesława Chrobrego, kiedy panujący ci byli już chrześcijanami, kiedy były kościoły, księża i dwory biskupie oraz wyższych dygnitarzy książęcych — liczba rzemieślników musiała być już znacznie większą niż poprzednio, a zajęcia ich różnorodniejsze.

Kościół potrzebował bowiem rozmaitych przedmiotów, wyrabianych przez rzemieślników, którzy początkowo zapewne składali się z cudzoziemców przybyłych wraz z księżmi, również obcego pochodzenia tak, jak i pierwsi rzemieślnicy, będący przy dworze książęcym.

Nie wyklucza to oczywiście możliwości powstania u nas w czasach bardzo dawnych rzemieślników z pośród ludności miejscowej, ale prawdopodobnie, ponieważ byliśmy, ze względów położenia geograficznego, nieco opóźnieni w rozwoju gospodarczym w porównaniu do innych narodów z nami sąsiadujących¹⁾, za wyjątkiem plemion litewskich, a więc Prusaków (dzisiejsi Prusacy wzięli tylko nazwę od

dawnych), właściwych Litwinów, Jadzwingów — więc rzemiosła bardziej od innych skomplikowane zapoczątkowali u nas zapewne cudzoziemcy. Ci rzemieślnicy cudzoziemcy byli bowiem ludźmi wolnymi, co zaś do krajowców, to nie ulega wątpliwości, że znaczna ich część pochodziła z niewolników, a później z poddanych, chociaż mogli się trafiać w liczbie mniejszej i wolni krajowcy. Z biegiem czasu większość rzemieślników składała się z ludności miejscowej, o czem mowa będzie później.

Tak więc przy dworach książąt panujących z dynastji piastowskiej, biskupów, przy klasztorach i siedliskach magnatów, powstałych z potomków dawnych małych książąt udzielnych pozbawionych panowania przez Piastów oraz wyższych dygnitarzy piastowych: wojewodów, kasztelanów — skupiali się rzemieślnicy. Rozwój gospodarczy w Polsce doprowadził do powstania miast, które początkowo były jakby wielkimi wsiami, o skupionej ludności oddającej się różnorodnym zajęciom, powstającymi w punktach krzyżujących się dróg handlowych, w centrach administracyjno-państwowych i religijnych. Miasta te, aż do powstania kolonizacji niemieckiej, tworząc już pewne skupienia, odróżniające się od zwykłych wsi różnorodnością stosunków gospodarczych przez posiadanie targów, nie wyodrębniały się od nich specjalną organizacją, posiadaniem specjalnych przywilejów.

Kolonizacja niemiecka rozpoczęła się u nas na dobre dopiero w połowie wieku XIII, wyjątkowo tylko w końcu XII na Śląsku.

Koloniści otrzymywali grunta i samorząd, posiadali własne sądownictwo i administrację pod kontrolą księcia osadzającego ich na własnym terytorjum, albo biskupa, czy też opata klasztoru, sprowadzających ich do swoich dóbr, wreszcie jakiegoś pana świeckiego. W ten sposób powstawały miasta i wsie korzystające z praw specjalnych, w których cała ludność była wolną. Wkrótce później i dawne skupienia miejskie i wsie, rządzące się prawem miejscowym, złożone z ludności zależnej, przechodziły, za zgodą swych panów, na prawo niemieckie, oparte na samorządzie. Było to korzystnym dla ludności, która korzystała z wolności i dla właścicieli, którzy otrzymywali czynsz i dochody.

W miastach osiadali kupcy i rzemieślnicy, jedni i drudzy tworzyli związki, to znaczy gildie (kupcy) i cechy (rzemieślnicy).

Związki klasy robotniczo-przemysłowej spotykamy w cechach, którym poświęcić musimy obecnie uwagę.

Cechy, ich organizacja i znaczenie.

Cechy były organizacją, mającą na celu: utrzymanie pewnej przybliżonej równowagi w dochodach majstrów rzemieślniczych w danym mieście, zapewnienie konsumentom wytworów pracy rękodzielniczej dobroci towaru, unormowania warunków pracy w warsztatach rzemieślniczych. Pierwszy z tych celów osiągał się przez szereg przepisów dotyczących warunków nabywania surowców potrzebnych do pracy, ilości uczniów i terminatorów, którzy mogą pracować u jednego majstra. Drugi przez oznaczenie terminu nauki uczniów i pracy czeladników u majstrów, celem odpowiedniego ich wyszkolenia w rzemiośle, oraz przepisów odnoszących się do roboty wykonywanej przez czeladników, mającej być dowodem ich uzdolnienia do stanowiska samodzielnego wytwórcy (t. j. majstra).

¹⁾ Jeżeli chodzi o Ruś południową kijowską, to ona w wieku IX i X nie stała od nas niżej, gdyż cywilizację czerpała wprost z Bizancjum. Dopiero po napadzie Tatarów w wieku XIII, a także po zajęciu Konstantynopola przez Turków w 1453 roku — wyprzedziliśmy ją.

Trzeci urzeczywistniał się przez przepisy dotyczące długości dnia roboczego, wypłat, sprawowania się uczniów i czeladników w stosunku do majstra, oraz załatwiania nieporozumień pomiędzy jednymi a drugimi oraz majstrów pomiędzy sobą. Przepisy cechowe starały się o to, aby przynależni do nich prowadzili życie uczciwe, pracowite, aby unikali pijaństwa, gier, bijatyk i t. p.

Każdy cech stanowił pewną samorządną organizację, mającą nietylko charakter gospodarczy, lecz także religijny, wojskowy, a do pewnego stopnia nawet i administracyjno-państwowy. Religijny dlatego, że cech występował z urzędu, że tak powiem, w pewnych uroczystościach kościelnych, że posiadał kaplicę w jednym z kościołów miejskich, w którym się zbierał, że czuwał nad prawowiernością wyznaniową swych członków. Wojskowy, ponieważ cechy były obowiązane do udziału w obronie miasta przed wrogiem zewnętrznym, do naprawy murów obronnych i innych powinności tego rodzaju. Wreszcie administracyjno-państwowy dlatego, że mistrze (t. zn. majstrowie), przynajmniej niektórzy, a gdzieindziej i wszystkich cechów, brali pewien udział w sprawach zarządu miastem, oraz w opracowywaniu uchwał o charakterze prawnym dla miasta, w którym były osiedlone. Każde miasto miało swoją oddzielną organizację, własne prawa z nią związane i z niej wypływające, które w wielu sprawach były do siebie podobne. Majstrowie posiadali swe ogólne zgromadzenia i zarząd własny, powstający przeważnie z wyborów. W niektórych miastach rada miejska, starosta (w królewskich), a właściciele (w prywatnych) mieli zapewniony pewien, w tej czy innej formie, udział w wyborze starszyny miejskiej. Z czasem utrwaliła się zasada, że rada miejska zatwierdzała ważniejsze uchwały cechów. Spory pomiędzy majstrami, a także ich czeladnikami rozstrzygały się w cechu, tylko w bardzo ważnych wypadkach opierały się o radę miejską. Statuty ich były zatwierdzane przez króla.

Czeladnicy i uczniowie wchodzili w skład cechu w charakterze biernym, t. zn., że podlegali jego przepisom, ale nie mieli zapewnionego wpływu na jego decyzję. Samo się przez się rozumie, że tak być musiało z uczniami, ale w stosunku do czeladników było to oczywiście niesprawiedliwością, gdyż byli oni ludźmi pełnoletnimi i swym fachu już ustalonymi. To też, jak zobaczymy później, na tle tem powstały poważne nieporozumienia.

Miarkowane one były do pewnego czasu, to jest w epoce rozkwitu cechów, kiedy nie uległy one zwyrodnieniu, w okresie, w którym czeladnikom nie trudno było zostać z biegiem lat majstrami. Już jednak w wieku XVI organizacja cechowa uległa pewnemu zepsuciu: majstrowie, korzystając ze swej władzy, starali się ze stanowiska swego zrobić pewnego rodzaju monopol, zapewniający rodzinom swoim stanowisko.

Ta ich dążność znalazła swój wyraz w coraz większych utrudnieniach, stawianych czeladnikom przy ich wyzwalaniu się i przechodzeniu do kategorii majstrów. Tak więc: podnoszono kosztą wyzwolenia, spadające oczywiście na czeladników, stawiano coraz większe wymagania dla nich przy wyrabianiu przedmiotów, mających świadczyć o ich uzdolnieniu w swym fachu.

Łatwo zrozumieć, że z chwilą, kiedy czeladnicy widzieli, że jest coraz trudniej dla nich zostać majstrami, to niezadowolenie ich z powodu władzy majstrów w cechu stawało się coraz większe,

a gotowość do znoszenia z ich strony rozmaitych przykrości zmniejszała się.

Wraz z wzrastającymi trudnościami dla czeladników przy wyzwalaniu się na majstrów, cechy robiły coraz większe ułatwienia dla synów, ich synów, co potęgowało jeszcze niezadowolenie pierwszych.

Czeladnicy cechowi są tą warstwą, z której częściowo powstała klasa robotnicza współczesna, mówię częściowo, gdyż, jak zobaczymy, powstała ona także i z żywiołów innych.

Niezadowolenie czeladników znalazło swój wyraz dość wcześniej i ujawniło się najpierw w strajkach, które władze cechowe i miejskie najpierw próbowały tłumić siłą, ostrych używając przeciwko ich uczestnikom represyj, następnie zaś w utworzeniu już w początkach wieku XVI oddzielnych stowarzyszeń czeladników. O strajkach mamy nie dużo dokładnych wiadomości, ale wiemy ogólnie, że były dosyć liczne, zwłaszcza w niektórych miastach. Dla przykładu wspomnę o dwóch:

W Krakowie w roku 1392 rada miejska wypędziła z miasta bez prawa powrotu 15 strajkujących; we Lwowie zaś w końcu wieku XV wszyscy uczniowie i czeladnicy krawieccy zmówiwszy się nocą opuścili mury miejskie, postanawiając gdzieindziej szukać pracy. Był to zdumiewający objaw solidarności.

Strajkujący zostali napadnięci przez straż miejską, która usiłowała siłą zmusić ich do powrotu do Lwowa. Wywiązała się krwawa walka, w której wielu towarzyszy czeladników poległo; reszta wrócić musiała do miasta. Po tym krwawym dramacie stosunki się poprawiły we Lwowie. Ci, co uniknęli śmierci doszli z czasem do pewnego dobrobytu, widocznie musieli z czasem zostać majstrami, ale, w zmienionych warunkach życiowych, nie zapomnieli o zmarłych w walce towarzyszach i na miejscu krwawej walki wybudowali w 1507 roku kościół św. Anny.

Przemysł rękodzielniczy w wieku XVI.

Charakterystyczną jego cechą jest to, że powstał on w sposób naturalny, na tle rozwoju gospodarczego Polski, stopniowo, bez żadnych podnieć sztucznych czy to ze strony królów, czy też poszczególne dygnitarzy tak, jak to było później w drugiej połowie wieku XVIII.

Przemysł polski w wieku XVI miał trzy tereny, na których się głównie koncentrował, jak to słusznie wykazał Baranowski w swem dziele²⁾: 1. Kraków z okolicą najbliższą wraz z ziemiami: oświęcimską, proszowską, lelowską i wieluńską; warunki były tu bardzo dogodne, ówczesna stara stolica nasza była targowiskiem międzynarodowem, a ziemie powyższe odznaczały się bogactwem, obfitością drzewa i surowców oraz wielkim zapasem energii, tkwiącej w bystrych potokach i rzekach; 2. Góry Świętokrzyskie; wiele fabryk, dodaje Baranowski, które istnieją do dziś dnia w tej kolicy, podobnie jak w wieluńskim i lelowskim, rozwijać się zaczęły w wieku XVI; 3. Wielkopolsce przemysł rozwijał się w Poznaniu oraz w takich miastach, jak: Kościan, Międzyrzecz, Kalisz, Piła i Łęczyca.

Poza temi głównymi centrami były inne odosobnione i mniejsze i tak: odnogą pierwszego

²⁾ Przemysł polski w wieku XVI, str. 2, 3 i następne.

centrum był Nowy Sącz i Biecz; na Wschodzie Małopolski ważnym ośrodkiem przemysłowym był Lublin i Lwów; na Mazowszu — Warszawa, a dalej Warka, Przasnysz, Łomża i Nur.

Niektóre zakłady przemysłowe korzystały z siły wodnej i wiatru.

Właścicielami fabryk byli posiadacze ziemi, na które one były zbudowane. Jednakże nie oni je prowadzili na własny rachunek, lecz prawo eksploatacji odstępowali osobom trzecim, a więc przedsiębiorcom, majstrom, a już znacznie rzadziej kapitalistom miejskim.

Naturalnie termin „fabryka“ nie pokrywa się w całości z tem, co dziś znamy pod tą nazwą. Ówczesne fabryki były w ogromnej większości dużymi zakładami rękodzielniczymi. Większość z nich korzystała, jak już zaznaczyłem, z siły wody, a niektóre, przeważnie młyny, z wiatru, a także zwierząt. Stosunkowo też zatrudniały niewielką ilość robotników; największe z nich miały po 30. Niektóre zakłady miały 5 kół wodnych.

Na początku XVI wieku wśród majstrów kierujących fabrykami było dużo jeszcze Niemców, z biegiem czasu jednak przeważają Polacy z imienia i nazwiska. Personel robotniczy należy do cechów. Niektóre gałęzie przemysłu są w wieku XVI w pełnym rozkwicie, naprzykład huty szklane, papierne, fabryki żelaza, sukna i wiele innych. Baranowski wylicza 27 gałęzi wytwórczości, prócz których istniało i górnictwo.

Oprócz dużej ilości Niemców w naszych miastach, a więc i w cechach, byli i inni cudzoziemcy, jak: Włosi (przeważnie w Krakowie i Małopolsce), Szkoci w Wielkopolsce trudniący się nietylko handlem, ale również i rzemiosłami. W samym Poznaniu miało ich być w wieku XVI od 200 do 300 osób. Była to ludność pracowita, zamożna. We Lwowie i na Rusi było dużo Rusinów. Niemcy w miastach polskich osiadali się, poza Śląskiem, w liczbie największej w Małopolsce, zwłaszcza w Krakowie, jednakże już w początkach wieku XVI spolonizowali się; znacznie mniej było ich w Poznaniu. Do tego czasu język niemiecki w starej naszej krakowskiej stolicy był w powszechnem użyciu także w cechach. Najmniej Niemców i cudzoziemców było wówczas na Mazowszu. Tu zauważyć należy, że Niemców było więcej wśród kupców i majstrów, niż wśród czeladników.

Za czasów reformacji, z powodu większej tolerancji w Polsce niż w Niemczech, przybyło znowu dość dużo Niemców.

Obce te żywioły łatwo się asymilowały z ludnością polską. Inaczej było z Żydami, którzy tworzyli jakby inny świat, ale ponieważ nie brali udziału w powstawaniu i rozwoju w czasach, o których tu mowa, polskiej, a nawet wogóle chrześcijańskiej klasy robotniczej, nie należy tu o nich pisać.

Zdobywając sobie coraz większą potęgę w państwie, szlachta zazdrościła miastom ich dobrobytu i niechęć swoją kierowała też przeciwko cechom, którym niesłusznie zarzucała, że krepują ją w jej sprawach gospodarczych. Broniąc zapamiętałe swych interesów gospodarczych, nie chciała uznać, że i rzemieślnicy, jako wytwórcy, mają prawo także dbać o swe dochody, o swoją przyszłość materialną.

Pod naciskiem szlachty Sejmy zniosły nawet cechy za Zygmunta Starego, ale życie silniejszym było od tego zakazu i w końcu znowu zostały one

uznane przez ustawy. Istnienie ich nie było też bynajmniej przerwane całkowicie.

Zaznaczyć tu należy, że większość królów dobrze rozumiała znaczenie mieszczaństwa wogóle i cechów i ochraniało je przed zamachami ze strony szlachty; nie zawsze jednak się to udawało.

Stowarzyszenia czeladników.

Wskutek zaostrzenia się stosunków wzajemnych pomiędzy czeladnikami a majstrami od początku wieku XVI strajki stają się coraz częstsze, a prócz tego powstają tajne stowarzyszenia czeladzi. Majstrowie starali się przeciwdziałać tym objawom przez rozmaite przepisy, ale to nie nie pomagało. Wówczas, chcąc uniknąć powstawania samodzielnych stowarzyszeń czeladzi, postanowili dopuścić przedstawicieli ich do współdziałania w zarządzie w samych cechach. Tak właśnie postąpiono w Krakowie, co ujawniło się najsilniej w cechu murarzy. Dopuszczono tu czeladź do udziału w działalności prawodawczej, administracyjnej i sądowej cechu: starszyznę wybierano z pomiędzy majstrów i towarzyszy (t. zn. czeladników), przyznano im wspólny zarząd kasy cechowej i t. p. W statucie cechu tego z 1572 roku umotywowano ten krok potrzebą zgody i koniecznością unikania kłótni w każdej zbiorowości społecznej. Ta polityka majstrów murarskich nie osiągnęła celu, gdyż już w 1586 roku powstałe oddzielne stowarzyszenie czeladników³⁾.

Tak więc w wieku XVI powstały oddzielne stowarzyszenia czeladników, które nie wychodząc z organizacji cechowej, tworzyły w nich ciało samodzielne. Początkowo stowarzyszenia te były jeszcze częściowo zależne od majstrów, co wyrażało się naprzykład w tem, że kierowników ich, t. zn. starszych, mianowali albo zatwierdzali majstrowie: wkrótce jednak uzyskały one całkowitą niezależność od majstrów i w wieku XVII są one w pełnym rozkwicie.

Rozwój tej samodzielności przechodził przez pewne fazy, było ich 4. W pierwszej majstrowie dopuszczają czeladników, obok siebie, do głosu w sądzie czeladzi; w drugiej sprawy drobne sędzi sama czeladź, ważniejsze majstrowie; w trzeciej pierwsi sędzą już wszystkie sprawy własne w 1-szej instancji, 2-gą tworzy sąd majstrów, a 3-cią sąd miejski (radziecki); w czwartej majstrowie już są usunięci całkowicie od sądownictwa nad czeladzią, gdyż ponad jej własnym sądem, jako druga instancja i zarazem ostateczna, występuje tylko rada miejska.

Naturalnie mowa tu tylko o sądownictwie dotyczącem spraw czysto cechowych.

Te stowarzyszenia czeladników mają już charakter klasowo-robotniczy i posiadają cechy późniejszych robotniczych związków zawodowych.

Widzimy tu na przykładzie dziejów własnej naszej rodzimej klasy robotniczej, jak i dlaczego stara organizacja korporacyjna upaść musiała i upadła. Przyczyną tego był antagonizm pomiędzy czeladzią a majstrami. Póki jeszcze ogół członków pierwszej mógł przejść do szeregów drugich, ustrój ten trzymał się; z chwilą, kiedy przejście to stawało się coraz trudniejsze, ustrój korporacyjny zatracił już dawny swój charakter i w końcu upaść musiał.

Obecnie znaleźli się mędrcy, którzy, niebaczni na to, że dziś trudniej jest zamknąć robotników

³⁾ Zbigniew Pazdro: Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich, str. 94 i 95.

i fabrykantów w korporacji, niż to było w XVI wieku, pragną ją wznowić.

Gdyby dziś utworzono taki system, to spory pomiędzy jedną a drugą stroną rozstrzygaliby w końcu urzędnicy państwowi. A łatwo przewidzieć coby z tego wyszło.

Strajki czeladzi w XVI i następnym wiekach w Polsce miały przebieg rozmaity i kończyły się różnymi wynikami.

Nie ulega wątpliwości, że tak, jak w innych państwach, tak również i w dawnej Polsce majstrowie usiłowali często wyzyskiwać pracę czeladników w sposób rozmaity, czy to nie chcąc im podwyższyć płac, w razie wzrostu cen, czy też płacąc zbyt mało za pracę dodatkową, czy wreszcie obchodząc się z nimi brutalnie. Wówczas wybuchały strajki, które kończyły się bądź to szybko i załatwiane były w samym cechu, czy też zaostrzały się i opierały się o sąd rady miejskiej. Z doszłych do nas dokumentów widać, że sądy radzieckie odróżniały strajki wynikłe z naruszania praw czeladników od innych, uważanych za nieuzasadnione. Ponieważ na ogół czeladnicy nie mieli wpływu na radę miejską, ani na burmistrza i ławników, gdyż tam rej wodzili kupcy i majstrowie niektórych zwłaszcza uprzywilejowanych cechów; więc skoro te sądy radzieckie nie raz same przyznawały, że prawa czeladzi były naru-

szone przez mistrzów, więc możemy być pewni, że tak było istotnie.

Niekiedy jednak i czeladnicy byli winni, gdy oddawali się t. zw. poniedziałkowaniu, czyli opuszczaniu roboty po niedzieli, na co majstrowie często się skarżą i na co zwracają uwagę i rady miejskiej; czasami też pijaństwo wchodziło tu w grę.

Istniał dla czeladników przymus należenia do ich stowarzyszeń. Posiadali oni swe kasy wzajemnej pomocy, kasy chorych i kasy pogrzebowe, znaczenia których nie potrzebuję tu tłumaczyć.

W niektórych miastach strajki były częste, w innych rzadkie, albo nawet wieści o nich wcale do nas nie doszły. Oprócz warunków gospodarczych, wśród których znajdowali się czeladnicy, zależały one jeszcze od usposobienia i temperamentu.

W Krakowie, a nawet w Tarnowie były one częste, zaś w Poznaniu i wogóle w Wielkopolsce, zdaje się, bardzo rzadkie, chociaż i tam istniały stowarzyszenia czeladzi, które zdobyły sobie samodzielność, własną autonomję. Istniała ona naprzykład w cechach rzeźnickich, o których mamy stonkowo dużo wiadomości. Nie wiemy czy majstrowie byli w Wielkopolsce bardziej ustępliwi niż w Małopolsce, czy też czeladnicy w drugiej byli energiczniejsi w walce i bardziej do niej skłonni, niż w pierwszej?
(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

BRONISŁAW HLEBOWICZ

Wzmocnienie Niemiec i Rosji.

Politykę zagraniczną Polski w stosunku do Niemiec i Francji poddaliśmy już gruntownej krytyce, wykazując, że, wychodząc z założeń antyrosyjskich — faktycznie wzmocniła ona stanowisko międzynarodowe Sowietów, gdyż spowodowała Francję do oparcia się o Moskwę, zamiast o Warszawę.

Po upływie czterech miesięcy w polityce zagranicznej Polski nie zaszła żadna zmiana na lepsze, ani obecność Edena, ani Lavalu u nas nie w niej nie zmieniły; za to ujemne jej skutki jeszcze się spotęgowały.

Im bardziej oddalamy się od Francji, a wiążemy z Niemcami, tembardziej akcja narodowych socjalistów staje się w stosunku do nas bezceremonialną, a nawet brutalną. Agitacja na Pomorzu, głosząca otwarcie, że obecna granica polsko-niemiecka jest tylko tymczasową i że ono wróci niedługo do swej „ojczyzny“ niemieckiej i polityka przeciwko Polakom w Gdańsku są tego najlepszym dowodem. Wskazuję ogólnie tylko na te fakty, ponieważ szczegóły czytelnicy mieli w prasie codziennej.

W swoim czasie t. zw. pakt czterech, to jest porozumienie Francji, Anglii, Włoch i Niemiec w polityce międzynarodowej wywołał u nas jednomyślne i słuszne niezadowolenie, z którego „sanacja“ ukuła specjalną broń przeciwko Francji.

Pakt ten, nie doprowadzony zresztą do końca, upadł za czasów ministerstwa spraw zagranicznych Barthou. Obecnie Niemcy, kokietując Francję, podkreślając ciągle, że w przeciwstawieniu do swej zachodniej granicy, którą uważają za ostatecznie ustaloną, sprawa granic wschodnich jest nadal

otwartą — proponują zarazem znowu utworzenie paktu czterech. Pragną, aby te wspomniane wyżej 4 państwa, porozumiały się ze sobą, same decydowały o losach Europy.

I rzecz dziwna, to wystąpienie Niemiec nie wywołało protestów prasy „sanacyjnej“.

Po Lavalu i Edenie do Moskwy pojechał Benesz. W ten sposób znaczenie Sowietów wzmocniło się znacznie w Europie, a wszystko to dzięki polityce pana Becka.

Jak już zaznaczyłem w artykule w Nr. 3, Polska słusznie nie godziła się na to, aby w razie konfliktu z Niemcami, armja rosyjska miała przechodzić przez Polskę, ale, gdyby nie było paktu nieagresji z Niemcami, to kwestja ta nie istniałaby wcale, gdyż nie wciąganoby do sojuszu Rosji.

Sytuacja polityczna źle się dla nas układa.

Po zjeździe w Stresie zdawało się, że między Francją, Anglią i Włochami doszło wreszcie do porozumienia w sprawie stosunku ich do agresywnej polityki Niemiec. Tymczasem okazało się, że nie. Istotnie, apetyt Mussoliniego jest nienasycony. W czasie, kiedy Niemcy wprowadzają powszechną służbę wojskową, kiedy armja ich obecnie już jest większą od francuskiej, raptem zaczęła się Mussolinemu Abisynji, do której ciągle posyła wojska.

Kiedy władca tej ostatniej zwrócił się do Ligi Narodów o pośrednictwo, celem załagodzenia sporu z Włochami, co było rzeczą naturalną, gdyż Abisynja jest także jej członkiem, Mussolini początkowo nie chciał o tem słyszeć, w końcu niby się zgodził, ale, gdy zobaczył, że Liga chce się naprawdę sprawą tą zająć, oszczędzając zresztą jego miłość własną,

obraził się na dobre, zaczął porozumiewać się z Hitlerem i stał się miękki w sprawie Austrii.

Z drugiej strony Anglja, po ostatniej mowie Hitlera, niezawierającej zresztą, prócz frazesów pokojowych i uznania granicy zachodniej Niemiec, żadnych momentów uspakajających w stosunku do zagadnień polityki środkowo i wschodnio-europejskiej — zmiękła także wobec państwa narodowo-socjalistycznego; a chociaż pertraktacje w sprawie lotnictwa obu państw utknęły, a nawet chwilowo zostały przerwane, to jednak, widoczną jest rzeczą, że stanowisko Anglji w stosunku do Niemiec jest o wiele bardziej tolerancyjne obecnie niż było jeszcze przed półtora miesiącem.

Tak więc właściwie owe porozumienie francusko-angielsko-włoskie przeciwko Niemcom istnieje przestało.

Augur (Poljakow) pociesza się w „Kurjerze Porannym“, że nieokreślona, wahająca się polityka Anglji jest wynikiem ostrożności i taktyki pedagogicznej Baldwina, który jakoby chce powoli w sposób wychowawczy przygotować swój naród do późniejszej akcji stanowczej. Tłumaczenie to nie jest przekonywujące. Przedewszystkiem Baldwin wcale nie wygląda na „wychowawcę“ swego narodu. Jest to człowiek bardzo porządny, prawdziwy dżentelman, ale nie jest bynajmniej silną indywidualnością, a przytem nawet, gdyby chciał działać wolno i ostrożnie, to skoro już przed 2 miesiącami nastrój w Anglji był dla Niemiec nieprzychylny, to powinienby był wyzyskać to i nie dopuścić do cofania się i wahan.

„Daily Express“, znany organ angielski, zdaje się być bliższym prawdy, twierdząc, że Hitler odniósł większe zwycięstwo w Anglji, niż nawet w Zagłębiu Saary, pozyskawszy dla swej polityki „Timesa“.

Jeżeli nawet podróż Goeringa do Bułgarji i Jugosławji nie osiągnęła celu, to i tak nie da się zaprzeczyć, że Hitler odniósł sukces poważny.

Trudno jest obecnie przewidzieć, czy usiłowania władcy Niemiec w celu porozumienia się z Francją i utworzenia paktu czterech zostaną uwieńczony pomyślnym rezultatem. Sama jednak możliwość postawienia takiego pytania wskazuje na to, w jak znacznym stopniu stosunki międzynarodowe uległy zmianie w ostatnich dwóch miesiącach.

Jesteśmy w Europie odosobnieni. Porozumienie z Niemcami jest bowiem tylko chwilowe i w każdej chwili może być przez nich zerwane, gdy poczują się dość silni.

Stosunki nasze z Francją pozornie niby poprawne, są bardzo rozluźnione i nie wskazują na to, aby w czasie bliższym miały być znowu zacieśnione. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że pan Beek pozostaje nadal na swym stanowisku. Wprawdzie są pogłoski, że odejdzie i nawet wymieniają trzech kandydatów na jego miejsce, panów Łukasiewicza, Zaleskiego (byłego ministra spraw zagranicznych) i Raczyńskiego, posła w Londynie, ale nie wiadomo ile jest w tem wszystkim prawdy.

Pomimo szumnych frazesów o mocarstwowem stanowisku Polski w stosunkach międzynarodowych wpływ nasz jest skromny. Nawet mała Litwa, pomimo zaostrenia się jej stosunków z Niemcami, nie zmieniła dotychczas swego stanowiska wobec Polski; chociaż ciągle czytamy w prasie „sanacyjnej“, że nastrój tam jakoby się zaczął zmieniać, chociaż w ciągu ostatniego roku wyjeżdżały tam

rozmaite osobistości polskie i przeprowadzały rozmowy polityczne.

Niewątpliwie też i stosunki Polski z Sowietami także się pogorszyły i nie mając żadnych złudzeń co do nich, sądzę jednak, że obecnie można było z tym wschodnim sąsiadem, bez specjalnych czułości, żyć w nastroju pokojowym bez budzenia niepotrzebnych podejrzeń i kwasów, które istnieją w tej chwili.

Prasa „sanacyjna“ udaje, że nie wie o co właściwie chodzi i twierdzi, że przecież polityka Polska jest tak prostą i zrozumiałą, że ludność nie powinna mieć żadnych wątpliwości. Chodzi bowiem o to tylko, aby utrzymać pokój z sąsiadami.

Zapewne cel to chwalebny, chodzi tylko o to, czy droga do celu tego była trafnie obrana.

Publicyści i niepublicyści „sanacyjni“ starali się wykazać, że polityka obecnych władców Niemiec różni się od poprzedniej tem, że Hitler, pojmując ją w sposób o wiele szerszy od innych mężów stanu, antagonizm polsko-niemiecki stawia na drugim, a być może na trzecim planie, na pierwszy zaś wysuwa połączenie ziem rdzennie niemieckich z Rzeszą, oraz zwalczanie bolszewizmu. Z tego zaś wyprowadzają ten wniosek, że wobec tej szerokiej polityki naszego zachodniego sąsiada, spór polsko-niemiecki w zakresie terytorjalnym albo będzie osłabiony, albo też odłożony do przyszłości dalszej, a może bardzo dalekiej.

Otóż nadzieje te są zupełnie złudne i nietylko nie opierają się na żadnych faktach konkretnych, lecz przeciwnie, życie im zaprzecza, co widać z faktów przytoczonych na początku niniejszego artykułu. Zresztą, gdyby nawet tak było istotnie, to wobec zmian w Niemczech, w czasach ostatnich, nadzieje te muszą ustąpić.

Istotnie: jeżeli jeszcze przed trzema miesiącami można było twierdzić o silnym antagonizmie pomiędzy przywódcami narodowych socjalistów a Reichswehrą, jeżeli można było przeciwstawiać politykę zagraniczną jednych drugiej, to obecnie sytuacja ta zmieniła się całkowicie. Z chwilą zaprowadzenia powszechnej służby wojskowej w Niemczech, z chwilą, kiedy armja ich będzie ogólnonarodową, szkoloną i faktycznie podległą Reichswehrze, znaczenie jej w państwie, a zwłaszcza w sprawie wojny i pokoju wysunęło się na plan pierwszy. To też mowy o tem być nie może, aby Rzesza prowadziła jakąś wojnę wbrew woli Reichswehry, a co zatem idzie i polityka zagraniczna Niemiec musi być prowadzona, przynajmniej w głównych swych linjach, za jej zgodą.

Przy takim układzie stosunków twierdzić można napewno, że plany Niemiec, dotyczące rozbicia Rosji, albo całkowicie zaniechane zostaną, albo też zostaną odroczone na czas dłuższy, a na plan pierwszy wysuną się cele inne, dotyczące terytorjów sąsiadujących z Rzeszą bezpośrednio na jej granicach południowych i wschodnich. Czy to nastąpi za rok, czy za pięć lat, czy nawet za dziesięć, to znaczy po upływie terminu przewidzianego w polsko-niemieckim pakcie o nieagresji — jest to już sprawa drugorzędna. Zresztą, trzeba przyznać, że Hitler wcale nie łudził i nie łudzi Polski uznaniem definitywnych naszych granic; twierdzi tylko, że sprawy sporne (a mowa tu o terytorjach) będą mogły być załatwione pokojowo. Na czem twierdzenie to opiera, tego nie mówi i my tego nie wiemy. Nie wiemy też, czy ktokolwiek go w niem utwierdzał czy nie.

Hitler, niegodząc się na pakt wschodni dotyczący nieagresji, nie tylko nie godzi się na pokój z Sowietami, ale przede wszystkim na pokój z państwami w ogóle na wschodzie Niemiec leżącymi. Nie godzi się na ten pakt nie chcąc sobie wiązać rąk. Ta niechęć nie oznacza jednak tego, aby wkrótce miał się wybrać w pochód przeciwko Sowietom.

Zresztą trudno sobie wyobrazić taki pochód bez unormowania stosunków z Polską, Litwą, czy też z Łotwą, co dopiero umożliwiłoby mu wojnę z Rosją.

Otóż tak samo, jak nie możemy pozwolić na przemarsz w razie wojny wojsk sowieckich przeciwko Niemcom, tak z drugiej strony nie moglibyśmy pozwolić na przejście niemieckich przeciwko Rosji, a to z tych samych powodów, z obawy, aby one nie usadowiły się później w tej, czy owej z naszych prowincyj.

Jeżeli więc ktoś się łudzi tem, że wojna Niemiec z Rosją usuwa antagonizm polsko-niemiecki, albo oddala go w dal nieokreśloną, to: albo, zdradzając całkowitą naiwność, myli się, albo też milcząco przypuszcza możliwość jakichś przemian terytorjalnych dla nas niekorzystnych.

Jakie więc jest obecnie dla Polski możliwe wyjście z tej sytuacji?

Niewątpliwie łatwym ono nie jest. Weszliśmy na drogę błędną, to też te fatalne omyłki w polityce zagranicznej poprawić nie jest łatwo. W każdym razie należy z drogi dotychczasowej zejść i naprawić to, co się jeszcze da.

Konserwatywny „Czas“ krakowski wpadł w pewien szal progermański i wystąpił z artykułem lekceważącym Francję, a zachwycający się zbliżeniem do Niemiec. Artykuł ten był tem dziwniejszym, że w chwili jego pisania nie było u nas jeszcze dużych upałów, któreby mogły działać szkodliwie na mózg autora tego artykułu.

Treść jego była taką, że nawet „Gazeta Polska“ przestraszyła się wrażenia, jakie może sprawić i pośpieszyła zaznaczyć, że całkowicie niesolidaryzuje się z nim.

Wszystkie te sporne kwestje pomiędzy Francją, Anglią, Rosją a Niemcami przedłużają się, znowu: będą nowe konferencje, podróże dyplomatów i t. p., a Niemcy będą wciąż zbroili się dalej.

W każdym razie nie jest dla nas okolicznością pomyślną, że, znajdując się pomiędzy Niemcami a Rosją, widzimy, jak pozycja ich w stosunkach międzynarodowych wzmocniła się znacznie.

JÓZEF DUBIEL

Młodzież a polityka.

Gdy młodzi żywo uczestniczą w polityce, zewsząd odzywają się pełne oburzenia i zatroskania głosy o „rozpolitykowaniu młodzieży“. Niech jednak sprawy, które leżą na sercu zawodowym politykom nie znajdują prędko przychylnego oddźwięku w głowach i sercach młodych, a wnet znowu złowrogie puszczyki poczną hukać o „niebezpiecznym zobojetnieniu i braku ideałów wśród młodego pokolenia“. Kiedyż ma rację owe „starsze społeczeństwo“, gdy o „rozpolitykowaniu“, czy gdy o „zobojetnieniu“ mówi?

Złudzeniom oddaje się, kto sądzi, że w jakimkolwiek czasie i miejscu młodzież w pewnym wieku i o pewnym poziomie inteligencji myśleć przestanie o tem, co się w państwie dzieje. A stąd niedaleko już przecież do polityki. Naturalnym jest, że myśl u młodych zwłaszcza budzi pragnienie i wolę czynu; stwierdzenie zła budzi pragnienie naprawy. Tu by się pewnie p. Janusz Jędrzejewicz doszukał źródła swych kłopotów serdecznych z „Legjonem Młodych“. Członkom „Legjonu Młodych“ powierzono „samowychowanie się“. Niezmiernie ludzi się polityk, gdy przypuszcza, że młodzi, którym pozwolono myśleć samodzielnie, nie zechcą w czas jakiś działać sami. A to już przekracza granice „samowychowania“. Dzieje się to tembardziej, iż młode, bystre ślepie raz dwa ponoć wypatrzą różnicę między ideą a jej urzeczywistnieniem, która to przepaścista nieraz różnica starym oczom jest często niewidoczna.

A i penetracji partyj politycznych w młodem pokoleniu niełatwo pewnie będzie zapobiec. I dalej będziemy oglądać, jak ten i ów dostojnik partyjny, którego najczęściej dla braku jakichkolwiek innych uzdolnień uznają za „wodza młodzieży“, będzie zapuszczał wędkę w młode, głupie łby, którym niepoprawnie od początku świata roją się ideały wielkie i piękne.

Młodzież w polityce, to wiew świeżego idealizmu i dumnej romantyki w ciężką atmosferę tchórzliwego, korytkowego realizmu zawodowego politykierstwa. Najskrajniejszy realizm (oczywiście w sensie pewnego poglądu na świat i jego sprawy) u młodych zawsze mieć będzie cechy romantyki. Nie jest ona oderwanem od rzeczywistości obcowaniem z marzeniami. Romantyka młodych w polityce objawia się w silnej woli nagięcia kształtu rzeczywistości do kształtu ideału biernemu choćby nawet umiejętnemu poddawaniu się okolicznościom młodzi przeciwstawiają „stwarzanie“ okoliczności. To jest wola i umiejętność oglądania pewnych spraw polityki na szerszych obszarach czasu i przestrzeni.

Bardzo wielu, większość ogromna, wczas bardzo leczy się z tych „przypadłości“ wieku młodzieńczego w polityce. Około trzydziestki mają wszystkie cechy rasowych i „prawdziwych“ polityków. Nieliczni bardzo, jednostki tylko, nie leczą się z nich nigdy, chorują na nie do wieku starczego. I sprawa najdziwniejsza: ci stają się prawdziwymi politykami, ich ręką silnym da się uchwycić chybkie zwycięstwo w polityce. Bo idealizm i romantyka mają w polityce byt najbardziej realny, czego ciasne łby „realistów“ zrozumieć nie umieją wtedy nawet, gdy im doświadczać przyjdzie gorzkich skutków tej prawdy. Polityka, jak każde ludzkie działanie może być rzemiosłem, albo sztuką. Jedni przez życie są w polityce rzemieślnikami, inni są twórcami. Młodzi zwyczajnie mają ambicję być twórcami. Leczą się z tego prawie wszyscy gruntownie w latach terminatorki politycznej w różnych „młodzieżowych“, „samowychowawczych“ organizacjach partyjnych.

Ale spójrzmy na zagadnienie także z drugiej strony. Bo młodzież w polityce, to także często coś innego, niż idealizm i romantyka. Młodzież w poli-

tyce, to niekiedy gwardje pretorjańskie dla wodzów wszelkiego autoramentu, to także bojówki partyjne śmiałe i ofiarne, to element, na którym z upodobaniem próbuje się wszelkich rodzajów umundurowanej soldateski partyjnej. Zawszeć to lepiej wypada przy defiladach silny, luźny tupet „młodych“, niż powłóczenie utrudzonych weteranów partyjnych. Z entuzjazmem też „lepiej do twarzy“ młodemu, niż staroemu gębom; okrzyki silniej wychodzą z młodych, niż starych gardzieli. Zaiste źle dziś z partją, która w odwodzie nie ma parę tysięcy „kochanej młodzieży“ w kolorowych koszulach. Im partja bardziej faszystowska, im bardziej „totalna“, tem mniejszych pędraków odrywa od piasku i przyozdabia partyjnemi emblematami (niemiecka „Hitlerjugend“, italska „Ballila“, komunistyczni pionierzy).

Źle to szkoły polityczne te partyjne organizacje młodzieży, w których starsi protektorowie pozwalają młodemu ludzom „samowychowywać się“ według zasad przeróżnej ideologii. Tęce szyby, rozbijając zebrania, uprawiać wszelkie gatunki buńczucznej demagogji mogłaby na dobrą sprawę młodzież nauczyć się sama bez protekcji starszych i mentorów. W organizacjach „sanacyjnych“ jedno tylko szukanie posad byłoby bez pomocy tych starszych opiekunów mocno utrudnione...

Nie jesteśmy grupą luźną z sobą związaną jednostek. Tworzymy silną i coraz silniejszą organizację młodych. Jakież jest nasze stanowisko wobec zagadnienia, które starałem się wyżej zaznaczyć? Mnie się wydaje, że może ono być tylko następujące:

Nie będziemy granicy między młodymi i starymi wytyczali wiechami lat z metryki. Jedną jest tylko granica, która od wieków rozdziela „młodych“ od „starych“ w obojętności na liczbę lat metryki, granica tem mianowicie ostro wyznaczona, że młodzi wierzą w idee, a „starzy“ w nie nie wierzą, choć niekiedy dużo i pięknie o nich mówią. Tę i tylko tę granicę między młodymi i starymi pragniemy utrzymać.

Nikomuni ani wiek podeszły, ani stanowisko w jakiejkolwiek partji nie mogą dać prawa do roszczeń o wywieranie jakiegokolwiek wpływu na naszą organizację. Tylko podziw, jakim otaczamy ludzi, którzy życie sterali w walce o urzeczywistnienie idei, w których służbę my się dziś zaciągamy, stanowić może podstawę dla ich moralnego autorytetu w naszym związku.

Rozrost organizacji i ideowe pogłębienie jej zasad, stawiają przed nami ważne pytanie: czem chcemy być: organizacją młodzieży, czy organizacją młodych?

ZYGMUNT FELCZAK

Prawda o „Legjoni Młodych“.

Żadna organizacja młodych w dzisiejszej Polsce z wyjątkiem może rozwiązanej O. W. P. nie miała takiej prasy, jak „Legjon Młodych“ — Związek Pracy dla Państwa. Nietylko poważne organy opinji, ale również lilipucie gazetki prowincjonalne za punkt honoru uważały sobie zamieszczanie w każdym niemal numerze jakichś informacyj lub rewelacyj o „Legjoni Młodych“.

Obserwując uważnie tę „prasę“ przyszlizaliśmy do przekonania, że aczkolwiek dużo napisano o tej organizacji, to jednak niewielu z piszących zdołało dotrzeć do istoty rzeczy i dać obiektywną ocenę. W tem, co napisano jest bezwątpienia wiele słuszności, ale również wiele złośliwości i przejawów. Spróbujmy spojrzeć na „Legjon Młodych“ pod kątem „sine ira et studio“.

Cheć zrozumieć historję, jak również wszystkie perypetje „Legjonu Młodych“ trzeba najpierw uświadomić sobie warunki i okoliczności w jakich ta organizacja została powołana do życia, kto ją powoływał i w jakim celu?

Odpowiedzi na te pytania wiele nam wyjaśnią. „Legjon Młodych“ założono na przełomie lat 1931—1932, t. j. w okresie największego nasilenia wpływów Obozu Wielkiej Polski, który jako pierwsza organizacja młodych w odrodzonej Polsce zaczęła na dobre w tych czasach niepokoić i stawać się groźną dla panującego reżimu. W interesie rządzących leżało jaknajszybsze zniszczenie ruchu zdecydowanie opozycyjnego o dużej dynamice i charakterze masowym. Do zniszczenia zastosowano dwie stare i wypróbowane metody: metodę oddzia-

lywań... zapomocą środków natury policyjno-administracyjnej i metodę stworzenia w szeregach samych młodych dywersji.

„Legjon Młodych“ był realizacją tej drugiej metody. Ci więc, którzy powołali go do życia byli wytrawnymi i starymi graczami politycznymi, którymi wyłącznie kierowała myśl stworzenia odtrutki na endecką truciznę. W ich pojęciu miał to być raczej jeszcze jeden nowy urząd, instytucja, powołana do życia tak, jak każda inna o wyraźnie zakreślonym zadaniu.

Te niemoralne założenia, leżące u podstawy „Legjonu Młodych“ decydująco zaciążyły na tej organizacji i w konsekwencji spowodować musiały jej stopniowy rozkład, a w końcu upadek. Największe poparcie — największe fundusze nie mogły uchronić „Legjonu Młodych“ od działania tego „przekleństwa złego czynu“. Każdej innej partji o skryzalizowanym programie, opartym o jakiś światopogląd te niemoralne założenia, podyktowane względami wyłącznie natury taktycznej mogły ująć płazem (i często uchodzą!), ale nie B. B. W. R. — partji bez programu, będącej luźnym zlepkiem grup, grup i osobników, złączonych w najlepszym razie przywiązaniem do osoby Marszałka Piłsudskiego, a w najgorszym ordynarną chęcią zysku, pochodzącego z przynależności do partji rządzącej. Normalne stronnictwo, organizując młodzież ze względów taktycznych daje im odrazu swój program, jakiś światopogląd lub namiastkę światopoglądu. Jakież światopogląd i program mógł dać B. B. W. R.? Dążenie do utrzymania się przy władzy nie zastąpi nigdy programu i światopoglądu. Kazał „swym młodym“ szukać idei przewodniej i wypracowywać

sobie program. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że lepsza część członków „Legjonu Młodych“ dużo rzetelnego wysiłku w to szukanie włożyła, że próbowała wyjść z roli dywersanta i stać się ruchem ideowym. W szukaniu tej idei oparli się na tem, na czym w swej sytuacji oprzeć się mogli — na osobie Marszałka Piłsudskiego. Jako młodzi nawiązali do Jego młodości — do tych okresów, kiedy był socjalistą. Stąd ich radykalizm, antyklerykalizm i t. p.

Ten radykalizm, u niektórych szczery, u większości nieszczerzy, nie wyszedł im także na dobre. Grupa pułkownikowska Bezpartyjnego Bloku (Sławek, Prystor i t. d.), której odpowiednikiem miał być „Legjon Młodych“, tak przynajmniej był on pomyślany, kiedyś tam wprawdzie parała się radykalizmem, ale już dawno z tych „mrzonek młodości“ wyrosła. Dawny „towarzysz“ Gustaw zamienił się w pułkownika Sławka. Młodzi legjoniści nie zauważyli tego, jak nie dostrzegli wielu innych przemian, które się dokonały w psychice ich duchowych ojców. I w tem braku orientacji tkwi druga przyczyna ich upadku.

O innych pisać nie będę, bo te w artykułach o „Legjonie Młodych“, które się ukazały w prasie codziennej i tygodniowej najdokładniej zostały omówione. Należą tu: zakłamanie, atmosfera oportunistu, która od początku otoczyła „Legjon“, brak charakteru u większości przewódców, urzędniczy charakter organizacji oraz wysługiwanie się B. B. za subwencje i posady. To wszystko razem nie mogło się nie zemścić. Upadek musiał nastąpić prędzej czy później. Wystąpienie senjorów: Sławka, Prystora, Jędrzejewicza i innych z „Legjonu Młodych“ przyspieszyło tylko moment likwidacji. Stworzony „urząd“ dla spraw rozbijania młodych endeków stał się niepotrzebny i niewygodny — urząd zlikwidowano — „Legjon Młodych“ przestał istnieć. Czyż może być coś bardziej potwornego i moralnie, jak ta historia? Czyż organizacja młodych może zginąć w bardziej haniebnym sposób?

I gdybyż po uznaniu ich za niepotrzebnych pokazali kły? Gdybyż po męsku zareagowali? Nie podobnego. Próbowali przebłągać i przeprosić...

Roczną żałobę ogłosili po śmierci Marszałka, ale i to nic nie pomogło — bo żniźek na przejazd koleją do Krakowa na pogrzeb nie dostali...

Ich reakcją na ustąpienie senjorów było masowe wycofywanie się z organizacji, rozwiązywanie całych obwodów i komend. Ze strachu... o posady... Za ten brak charakteru, gdybym był wplywowym sanatorem, kazałbym tych wszystkich uciekinierów powywalać z posad.

Obrzydliwy „Legjon“ i obrzydliwy koniec.

Szczere współczucie wyrażamy tym, co przez przypadek i pomyłkę w szeregach tej organizacji się znalazło.

Historja „Legjonu Młodych“ winna być ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy chcą tworzyć organizację młodych na subsydjach i w niemoralnych celach.

„...niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirysów...“.

Urywek z testamentu wielkiego hetmana Stanisława Żółkiewskiego.

Wolność Ojczyzny była celem wszystkich dobrych Polaków w czasach niewoli. Ta wielka idea i wiara w nieśmiertelność Polski nie dała nam zginąć. Ona pozwoliła nam przetrwać długi okres niewoli, zerwać pęta i stać się znów wolnymi.

Po osiągnięciu niepodległości stanęły przed nami nowe cele i nowe zadania. Różnie różni je określają i pojmują, wszyscy jednak patrjoci godzą się na jedno, że trzeba budować wielki i potężny gmach nowego państwa polskiego. Sposobów tego budowania jest wiele. Jeżeli chodzi o nas, o akademickie grupy Narodowo-Społecznego Ruchu Młodych, to my uważamy, że trzeba budowę nowego państwa polskiego oprzeć na tych klasach ludności, które są *kulturalnie nieużyte, a więc na robotnikach i chłopach*. Szczęście i radość Polski związać z ich szczęściem i radością. Powiększyć Polskę przez podniesienie społeczne i kulturalne tych klas, przez wydobywanie tych wielkich wartości, które tkwią w ludzkiej.

Organizacje, które powołujemy przy wszystkich uniwersytetach i wyższych uczelniach polskich mają być *organizacjami o charakterze ideowo-wychowawczym*. Mają one skupiać *młodzież ze sfer robotniczych, chłopskich oraz inteligencji pracującej*. Propagować one mają hasła demokratyczne z punktu widzenia potrzeb klasy pracującej, wypowiadać się za demokratycznym i republikańskim ustrojem państwa, klasę pracującą uważać za trzon Narodu, budzić jej samowiedzę i organizować jej energję.

Zgodnie z powyższem cele grup akademickich podążać winne w kierunkach: *samokształceniowo-oświatowym, towarzyskim i społecznym*.

Praca samokształceniowa grup akademickich, których szerokiemu rozwinięciu sprzyja organiczne podłoże ich wzrostu, oparta być winna na elementach towarzysko-wychowawczych.

Wymiana myśli przez referaty i dyskusję, urabianie i przetwarzanie zdobytej wiedzy, uzupełnienie zdobytego wykształcenia fachowego wiadomościami ogólnymi z innych dziedzin — ma mieć na celu *tworzenie typu intelektualisty polskiego w najlepszym tego słowa znaczeniu*. Jeszcze ważniejszą stroną samokształcenia jest przymus wewnętrzny, opanywujący psychikę jednostki. Istotą jego jest *włączenie jednostki w życie zbiorowe i nadanie temu znaczenia trwałej dyspozycji psychicznej*. Utrzymywanie siebie w ciągłej trzeźwości obserwacyjnej uczy prawdy obiektywnej, rozświeca umysł i uszlachetnia serce. W ten sposób dokonać się ma przeobrażenie jednostki w moralną siłę społeczną i ma wykwitnąć najcenniejszy dorobek dziejów — *cnota obywatelska*. Jeżeli chodzi o dziedzinę oświatową — to praca kulturalno-oświatowa stała się obecnie nakazem życia współczesnego. Organizacja nasza ma współdziałać z istniejącymi warsztatami pracy, a więc Z. M. P. „Jedność“, N. P. R. i Z. Z. P. Przez wciągnięcie środowisk tych w orbitę umysłowego ruchu ogólnego, dać ma ona *nowe bodźce cywilizacyjne*. Aczkolwiek potrzeby kulturalne szerokich mas ludności czekają ciągle na swe zaspokojenie, akademickie grupy Narodowo-Społecznego Ruchu Młodych nie mogą stać się instytucjami oświatowymi. Poczuwając się do odpowiedzialności za ideały, które lud polski piastuje w swem łonie, za jego poziom społeczny, etyczny, państwowy i ogólnoludzki, musimy przede wszystkim *podjąć pracę mającą na oku Kulturę Narodu*, t. j. jego dobro, moc i szczęście, a więc krzewienie ideałów, które swoim poziomem i wartością stoją na straży godności Narodu, czyli jego etycznych i twórczych walorów i któreby, podnosząc wartości ludzkie, uzbrajały dłoń, rozum i sumie-

nie obywatela Rzeczypospolitej w organizacji nowej kultury społecznej i gospodarczej.

Cel towarzyski przyczyniać się ma do wzajemnego poznania i życia młodych, pochodzących z różnych stron Polski. Związani wspólnym pochodzeniem z ludu chcemy stworzyć środowiska oparte nie na skostniałych konwensacjach i obłudzie towarzyskiej dawnej szlachty i burżuazji, lecz na szczeroci i dumie człowieka pracy.

Trzeci kierunek naszej pracy — to praca społeczna. Pojmujemy ją nie jako „pracę nad ludem”, ale jako zaszczytny obowiązek przodowania we wspólnej pracy z ludem. Znając przeszłość i teraźniejszość człowieka pracy, pragniemy brać w jego życiu kulturalnym, umysłowym i gospodarczym czynny udział, podzielać jego troski i radości nie „odświęta”, jak to uprawiano dotąd, ale nacodzień.

Idziemy, jednym słowem, nie jako oddzielna kasta, odgradzona od ludu lasem przesądów klasowych i fałszywym wstydem, lecz jako przodownicy gromad chłopskich i robotniczych złączeni wspólną krwią i wspólnym celem — wyzwolenie ujarzmionych sił.

Antoni Bergman.

50-letnia rocznica zgonu Wiktora Hugo.

Cała Francja republikańska i demokratyczna żyje obecnie pod znakiem uroczystości, organizowanych w 50-tą rocznicę zgonu Wiktora Hugo. Wielki talent pisarski, niezależność ducha i odwaga przekonań spłoty się w tej postaci pisarza — obywatela w całość nierozdzielalną, a z imienia Wiktora Hugo uczyniły sztandar wolności i prawa człowieka.

I dziś jeszcze, podobnie jak za życia poety, nikczemność rozmaitych dusz policyjnych usiłuje pomniejszyć jego sławę i znaczenie. I dziś tak, jak niegdyś wokół nieugiętej postaci autora „Nędzników” snuje się czad nienawiści tych, którzy — zwodniczym światłem nowych form tyranji oślepieni — nie umieją dostrzec ani ocenić wiekuistych ducha ludzkiego wartości...

Gdyby z obfitej spuścizny Wiktora Hugo nie pozostało nic więcej prócz kartki słynnego manifestu z grudniowych dni r. 1851, już ta jedna kartka określiłaby miejsce poety w szeregu wielkich mężów Francji. Po zamachu stanu Ludwika Bonaparte, który dyktatorską swoją władzę rozmiął rychło na haniebne rządy biurokratycznych i militarnych klik, pisał Wiktor Hugo w historycznym wezwaniu „Do Narodu!”:

„Ludwik Bonaparte jest zdrajcą. Naruszył konstytucję. Stał się krzywoprzysięcą. Znajduje się on poza prawem... Naród, który obecnie i po wsze czasy posiada prawo powszechnego głosowania i któremu nie trzeba księcia, by mu je zwrócił, będzie wiedział, jak ukarać buntownika. Narodzie! Spełnij swój obowiązek. Posłowie republikańscy maszerują na czele. Niech żyje Republika! Do broni!”.

Nieprzejednana walka z nędznym i tchórzliwym reżimem Napoleona III kosztowała Wiktora Hugo — drogo: dwadzieścia lat życia spędził na wygnaniu, obrzucany błotem przez chwalców i służalców słomianego dyktatora, ogłaszany po wielokroć za buntownika i zdrajcę kraju przez sprzedajną prasę. Ale odwróciła się karta historii: gdy po klęsce wojennej Napoleona III z piętnem hańby na czole uciekał do Anglii — na ojczyznę łono, jako triumfator, wracał Wiktor Hugo. Czcią i szacunkiem otoczył naród Człowieka, który o wielkości swej nie przekonywał nikogo — pałką, ale wielkość tę rzetelną zdobył sobie zasługą.

Od Wydawnictwa.

Wszystkich zainteresowanych zawiadamiamy, że z numerem następnym wstrzymujemy wysyłkę wszystkich bezpłatnych egzemplarzy okazowych. Kto więc pragnie zapewnić sobie dalsze otrzymywanie naszego pisma, winien je sobie natychmiast zsubskrybować.

Równocześnie zawiadamiamy wszystkich tych naszych Prenumeratorów, którzy zalegają z zapłatą prenumeraty za czerwiec względnie II kwartał br., że, o ile do 10 lipca br. nie uiszczą zaległego abonamentu, z numerem następnym wstrzymamy im dalszą wysyłkę pisma.

Pozatem Sympatykom naszego pisma w stolicy podajemy do wiadomości, że pojedyncze egzemplarze „Demokraty” są do nabycia w Warszawie w kioskach gazetowych Spółki „Czytajcie”.

„Obrona Ludu”

Organ Narodowego Ruchu Robotn.

jest najtanszem pismem w Polsce. Wychodzi trzy razy w tygodniu z dodatkami „Pocnodnia”, „Niedziela” i „Gospodarz” kosztuje miesięcznie z przesyłką 1 złoty Raz w tygodniu specjalny dodatek dla młodzieży

p. t. „Pocnodnia”

organ Zw. Młodzieży Pracującej „Jedność”

Ten związek „Obrony Ludu” z organem Z. M. P. „Jedność” winien jej zapewnić poparcie wszystkich placówek Narodowo-Społecznego Ruchu Młodych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie 40 groszy. Kwartalnie 1 złoty. Prenumeratę wpłacać można zapomocą przekazów obrachunkowych (numer kartoteki 14). Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.

Przedstawiciele Redakcji: w Warszawie: Zofja Topolińska, w Krakowie: Józef Dubiel, w Poznaniu: Antoni Bergman, we Lwowie: Władysław Dąbrowski.

Pismo ukazuje się stale w połowie miesiąca.

Adres Redakcji i Administracji: Toruń. ul. Legionów 29. Oddział w Poznaniu, ul. Wrocławska 14 m. 4.

Wydawca: Zarząd Główny Związku Młodzieży Pracującej „Jedność”. — Redaktor: Zygmunt Felczak, Grudziądz, ul. Małogroblowa 8

Drukiem Drukarni Robotniczej Sp. z o. p. Toruń, Legionów 29.